

Błażej Brzostek

„JAKOŚ SIĘ WRESZCIE UŁOŻYŁO...”
ESEJ O POLSCE LAT „MAŁEJ STABILIZACJI”

Wiosną 2011 r. masowo oglądano zorganizowaną w warszawskim Muzeum Narodowym wystawę „Chcemy być nowocześni. Polski design 1955–1968”¹. Można było podziwiać fotele o łupinowych formach, drobiazgi gospodarstwa domowego, fragmenty wnętrz mieszkalnych „z epoki”. Przechadzali się wśród nich zarówno ludzie, którym obiekty te przypominały realia własnego życia sprzed dziesięcioleci, jak i ci, którym przywilej młodego wieku pozwolił stworzyć z nich własną układankę. Ta nowa układanka jest bardzo atrakcyjna. Wzornictwo – czy *design*, używając modnego dziś słowa – szlachetnie się zestarzało, a na wystawę wybrano z niego to, co najlepsze. Estetyka lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych XX w. cieszy się wielką popularnością w dzisiejszej Europie, nawiązują do niej wytwórcy kosztownych naczyń kuchennych, ekspresów do kawy czy mebli. Trudno się dziwić, że także pewna część dziedzictwa Polski drugiej połowy zeszłego stulecia weszła już w sferę atrakcyjnego *retro*.

Zjawisko jest wieloznaczne; wpisuje się w ogólnoeuropejską tendencję, zarazem właściwy jest mu element fascynacji zamkniętym światem PRL, ale też podkreślanie oporu wobec tego świata. „Chcemy być nowocześni” – zatytułowano wystawę, akcentując niezgodę polskich plastyków na stalinowski dogmatyzm, objawiającą się publicznie w połowie lat pięćdziesiątych. Zarazem odkrywanie piękna przedmiotów, które – choć przecież nie wszystkie – stanowiły część peerelowskiej codzienności, zdaje się zawierać element oporu wobec czarnego obrazu tamtej epoki. Opór ten ma, jak można sądzić, dwa istotne źródła, ważne dla dwóch różnych generacji. Jedno nazwać można nostalgicznym, drugie zaspokaja pragnienie odnalezienia zapomnianych, a nagle atrakcyjnych artefaktów. Dało się to zauważyć już u schyłku minionego stulecia, gdy w telewizji pojawiły

¹ Dekadę wcześniej w tymże muzeum prezentowano wystawę „Rzeczy pospolite – polskie produkty 1899–1999”, której istotna część dotyczyła także wzornictwa tych czasów.

się reklamy z nawiązaniem do lat sześćdziesiątych. Producent proszku do prania przypominał widzom ich „pierwsze spodnie z bistoru”. W warszawskiej galerii „Zachęta” zorganizowano w 2000 r. wystawę „Szare w kolorze”. Tomasz Jastrun relacjonował wtedy w paryskiej „Kulturze”, że „wielkie nostalgiczne tłumy chodziły z łzą w oku po salach. My przenosiliśmy się w świat naszej młodości, a młodzi z pewnym sentymentem spacerowali po pokojach młodości swych rodziców. [...] I oto nostalgia idealizuje tamten czas, gdyż wyparowało z niego kłamstwo”².

W pierwszej dekadzie XXI w. nośne stały się hasła obrony materialnego dziedzictwa powojennej Polski. Wyburzenia czy przekształcenia budynków, wzniesionych w połowie XX w., wywołują dyskusje i protesty. Organizowane są akcje zmierzające do ocalenia starych neonów, małej architektury, wyposażenia wnętrz. Świat przedmiotów szlachetniejsze, przyciąga uwagę, przypomina talenty polskich projektantów. To właśnie zjawisko stało się inspiracją do poniższych rozważań, które są próbą uchwycenia pewnych cech rzeczywistości polskiej lat zwanych „małą stabilizacją”. Byłaby to przede wszystkim chęć urządzenia się w świecie bardziej przewidywalnym, dającym nieco większe możliwości, obudowywanym nową kulturą materialną. W wypadku Polski proces ten miał wciąż dramatyczny wymiar powojennej odbudowy. W Europie Zachodniej, której historię należy związać – wbrew przyjmowanemu często ujęciu – z ówczesnymi dziejami Polski i krajów sąsiednich, masowe wzbogacanie się tworzyło, zachowując wszystkie proporcje, podobne ciśnienie konsumpcyjne.

Inna inspiracja tego tekstu ma charakter literacki. Jest to niewielka powieść Georgesa Pereca *Rzeczy. Historia z lat sześćdziesiątych*, która ukazała się w 1965 r. w Paryżu. Autor był szerzej nieznany, miał 29 lat, pochodził z rodziny polskich Żydów. Książka przyniosła mu rozgłos i otworzyła błyskotliwą karierę literacką, zakończoną przedwczesną śmiercią pisarza w 1982 r. *Rzeczy* to studium aspiracji dwojga młodych inteligentów, zatrudnionych przy badaniach rynku, mających ciasne mieszkanie w centrum Paryża i doświadczających napięć związanych z pragnieniem dorobienia się. Perec opisywał, jak młodzi powoli „stają na własnych nogach”, wyposażając mieszkanie i kupując sobie angielskie (w ich oczach najlepsze) ubrania na pchlim targu. Zainteresowania Sylvie i Jérôme’a obracały się wokół przedmiotów – stale podsuwanych im w reklamie, występujących w nieprzebranej obfitości w sklepach i dzielących się na liczne kategorie, wśród których najbardziej istotna była kategoria rzeczy (jeszcze) niedostępnych³. Mam wrażenie, że zjawisko charakterystyczne było także dla PRL, choć oczywiście porównanie realiów Paryża i Warszawy naraziłoby tę tezę na śmieszność. Jednak, pozbawieni zwykle możliwości szerszych porównań, obywatele PRL aspirowali

² Smecz, *Z ukosa*, „Kultura” 2000, nr 10, s. 145.

³ G. Perec, *Les choses. Une histoire des années soixante*, Paris 2010 (wyd. I, Paris 1965).

w istocie do bardzo podobnego świata – rzeczy, które wypełniały wreszcie ich własne, choć małe mieszkanie, dając poczucie osadzenia w świecie, który przecież tak niedawno rozsypywał się w gruzy.

Oblicza „małej stabilizacji”

„Hotele i restauracje są pełne, miejsca w samolotach trudne do zdobycia, kina i teatry mają często komplet. Ruch samochodowy rozwija się, a Warszawa, nie będąc *ville lumière*, jest jednak oświetlona w sposób, którego wiele miast Wschodu mogłoby jej pozazdrościć. Jeśli chodzi o ludzi z ulicy, robią oni wrażenie dobrze odżywionych i ciepło ubranych, jeśli pogoda tego wymaga. Bardzo liczne dzieci przejawiają wesołość, właściwą ich wiekowi, której nie zdaje się tłumić regularne uczęszczanie do szkół. Kolejki tworzą się przed wieloma sklepami, ale trudno orzec, czy towarzyszą one trudnościom aprowizacyjnym, czy też stały się dla większości Polaków rodzajem drugiej natury. [...] Bez wątpienia wszystkim grupom społecznym daleko do zasobnego życia, a wielka nędza istnieje jeszcze zwłaszcza wśród ludzi starszych, już nie mogących pracować. Lecz w porównaniu z trudnościami, jakich ten kraj zaznał, wydaje się, że przeważająca większość Polaków może żyć, nie skarżąc się nadmiernie”⁴. Taki obraz PRL zarysował dla swych zwierzchników dyplomata francuski jesienią 1967 r. Powierzchność tej relacji nie przekreśla jej znaczenia. Zewnętrzna „normalność” życia ukrywa wspomnienie bardzo złych czasów i doświadczeń – podobny przekaz wydobyć można z wielu ówczesnych dzieł polskiej kultury. Epoka, o jakiej pisał Jacques Fouchet, nazywana bywa przecież „małą stabilizacją”.

Odmienne jej oblicze ukazał kilka lat temu Marcin Zaremba, pisząc o „małej destabilizacji”, a posiłkując się źródłami archiwalnymi, odsłaniającymi to, co w epoce na ogół nie przedostawało się do sfery publicznej. Nakreślił obraz rzeczywistości, w której poczucie bezpieczeństwa materialnego i politycznego jest kruche; opisywał konflikty społeczne – strajki, niepokoje związane z poczuciem zagrożenia wojną, odruchy lękowe wywoływane przez pogłoski itp. – podważając wizję kraju pogrążonego w bezruchu⁵. Jest to z pewnością istotna część prawdy o latach sześćdziesiątych w Polsce.

Inne ich oblicze było szare, niekontrastowe, naznaczone stagnacją. „Jakiś ogólny smutny nastrój wegetacji, dojrza, skłopotania, monotonii, rezygnacji, szarzyzny w stroju i w koncepcji życiowej, powszechnego zobojętnienia panuje

⁴ Archives des Affaires étrangères, Paris (dalej – AAE), Kolekcja Europe 1956–1970, Pologne, sygn. 2479, nlb., Chargé d'affaires Jacques Fouchet, Les trois formes du malaise polonais, 10 X 1967 r.

⁵ M. Zaremba, *Spoleczeństwo polskie lat sześćdziesiątych – między „małą stabilizacją a „małą destabilizacją”*, w: *Oblicza Marca 1968*, red. K. Rokicki i S. Stępień, Warszawa 2004.

na ulicy, którą »rozświeca« od czasu do czasu ponura sylwetka i dowcip pijanego” – opisał Polskę emigrant, który odwiedził ją po latach, w 1968 r.⁶ Holenderski fotografik utrwałił kilka lat wcześniej pejzaże kilku miast polskich, dokumentując rzeczywistość dla niego egzotyczną: starych ludzi w maciejówkach i znoszonych marynarkach, wozy konne na tle sypiących się kamienic, handlarzy z workami na plecach⁷. Taki „szary” obraz wpisał się w zbiorową wyobraźnię, zapewne także dlatego, że utrwalony został na czarno-białych fotografiach amatorskich z rodzinnych albumów. Dopiero następną dekadą zaczęła wabić kolorami zdjęć i obrazów telewizyjnych.

Na wspomnieniu lat sześćdziesiątych zaciążyło skojarzenie z tym, co „gomułkowskie”. O ile lata władzy Bolesława Bieruta zapisały się jako okres stalinizmu, a krajowy przywódca bił odbitym, księżycowym blaskiem (jak to opisał Władysław Gomułka w październiku 1956 r.), o tyle następny, długi okres w dziejach PRL został silnie spersonalizowany. Częściowo stało się tak wskutek zmiany stosunków w bloku. Lokalni liderzy zyskali większą podmiotowość. Od połowy lat sześćdziesiątych kształtowało się na Węgrzech zjawisko nazwane później kadaryzmem. Wyraziście rysowała się „narodowa” forma socjalizmu, uosabiana w Rumunii przez Nicolae Ceaușescu. Twarzą „Praskiej Wiosny” było melancholijne oblicze Alexandra Dubčeka. W 1968 r. János Kádár wprowadził rewolucyjną, jak na realia bloku, reformę gospodarczą, a czechosłowacki „socjalizm z ludzką twarzą” rozjechały czołgi; Ceaușescu potępił tę agresję z balkonu Komitetu Centralnego swej partii w Bukareszcie, zbierając owacje wielotysięcznego tłumu. Z tegoż roku pochodzą najczęściej – obok tych z października 1956 r. – przywoływane sekwencje publicznego wystąpienia Gomułki. Łysa głowa kiwa się nad mównicą, padają zdania o obywatelach pochodzenia żydowskiego i o Pawle Jasienicy, zebrani podgrzewają atmosferę nagonki. Gomułka przemawia w Sali Kongresowej – wewnątrz Pałacu Kultury, a nie przed nim, jak w Październiku; do aktywu, a nie do mas; za pośrednictwem ekranu telewizyjnego, a nie wprost do ludzi.

Obraz marazmu, wiązany z „małą stabilizacją”, a zwłaszcza schyłkiem lat sześćdziesiątych, wydaje się przesłaniać dynamiczny wymiar epoki, naznaczonej przesileniami w stosunkach geopolitycznych, cywilizacyjnych i międzypokoleniowych. Przesilenia te wiązały się z niezwykle znaczącymi dążeniami emancypacyjnymi w różnych dziedzinach życia. Wymiar ten, oczywisty w historii powszechnej, w odniesieniu do realiów czasów gomułkowskich zdaje się zredukowany do tarć towarzyszących życiu codziennemu, do scenerii prywatnych i „wojny domowej” z popularnego ówczesnie serialu. „Mała stabilizacja” zdaje się też z trudem przystawać do pamiętanego na Zachodzie okresu niezwyklej

⁶ M. Lurczyński, *Notatnik z podróży po Polsce*, „Kultura” 1969, nr 1–2, s. 131 i n.

⁷ P. Schumacher, *Polska 1963. Niezwykła podróż fotograficzna*, Hoofddorp 2007.

prosperity, który doczekał się we Francji szumnej nazwy *trente glorieuses* – trzydziestu wspaniałych lat. Apogeum tego zjawiska przypadało właśnie na czasy utrwalone w opisie PRL jako czternastolecie o smutnym bilansie. Jednak podobieństwo zbiorowego doświadczenia polegało z jednej strony na „przywileju późnego urodzenia”, który stanowczo oddzielał pokoleniowe doświadczenia, z drugiej zaś na skali zmiany społecznej. Młody robotnik włoski czy hiszpański żył w latach sześćdziesiątych na ogół zupełnie inaczej niż jego ojciec ćwierć wieku wcześniej. W krajach o przewadze ludności rolniczej, w których dochodziło do wielkiej urbanizacji i migracji, takich jak Polska, Jugosławia czy Rumunia, ta odmienność doświadczenia była równie wielka.

Nazwisko Gomułki, mogące uchodzić za symbol emancypacji politycznej w drugiej połowie lat pięćdziesiątych, stawało się w następnej dekadzie znakiem konserwatyizmu i obrony *status quo*. Działo się to w czasach naznaczonych silną personalizacją i zarazem ideologizacją polityki. Wyraziste osobowości polityczne – Gamal Abdel Naser, Jawaharlal Nehru, Josip Broz Tito, Mao Zedong, Kim Ir Sen, Ho Chi Minh, Fidel Castro – kreowały obraz świata pełnego nowych możliwości, ale i dramatycznych konfliktów, układających się we wzór „Dawida i Goliata”, jak w przypadkach Korei, Kuby, Wietnamu, a więc wywołujących doniosłe skutki psychologiczne. Przekształcenia i napięcia polityczne oraz ideowe ogarniały obóz komunistyczny, który przestawał być monolitem – pisano nawet o „dekolonizacji na Wschodzie”⁸. A ruchy emancypacyjne, związane z dekolonizacją, miały niezwykle wpływ na młode pokolenia. Kształtowały ich kulturę polityczną, wzory osobowe, estetykę i przestrzeń symboliczną. Ruchy te były „młode”. Ich przywódcy i męczennicy na ogół weszli w dojrzałe życie po II wojnie światowej lub niedługo wcześniej. Ernesto Guevara był o 23 lata młodszy od Władysława Gomułki, Fidel Castro o 21 lat, a Patrice Lumumba o 20. Ceaușescu, postrzegany jako odnowiciel rumuńskiej polityki, był młodszymi latami, podobnie jak dyktator Egiptu Naser – kolejna ikona „młodego” świata. Stary był wprawdzie Mao, ale należał do innej przestrzeni kulturowej i traktowany był już jako klasyk, przez część lewackiej młodzieży Zachodu na równi z Karolem Marksem i Włodzimierzem Leninem. „Młody” świat stymulował nie tylko te ograniczone w końcu środowiska. Pociągał niezwykle różnorodnymi możliwościami w sferze przekształcania społeczeństwa i materii życia, a jednocześnie ukazywał skostnienie starych wzorów kariery i awansu w społeczeństwach o tradycji mieszczańskiej. Na tym tle polityka reżimu PRL-owskiego zdawała się zachowawczą; polską racją stanu reżim ten wiązał z trwałością *status quo*. Gomułka uznawał się za realistę; cenił ideowość, lecz zdawał się lekceważyć idealizm. Nie miał też zrozumienia dla potrzeb materialnych. „Wielu z jego najbliższych współpracowników śmieje się ze swego szefa, nazywając go »pastorem«, niektórzy drżą ze

⁸ A. Fontaine, *La décolonisation à l'Est*, „Le Monde” z 1 VIII 1968 r., s. 1 i n.

strachu a jednocześnie kpią za plecami” – pisał warszawski dziennikarz po emigracji na Zachód⁹. W raportach dyplomatów francuskich opisywano Gomułkę jako ascetę przypominającego „kawał suchego drewna”. Jego przeciwieństwem miał być „wielki, tłusty, o sprytnym spojrzeniu i ustach smakosza” polski premier: „Kocha piękne samochody (prowadzi Jaguara Mark 10), piękne dziewczyny i wódeczkę”¹⁰. Ascetyczna głowa Gomułki kontrastowała z nalanym obliczem Cyrankiewicza i kontrast ten oddawał niejednoznaczność ówczesnych realiów. Do początku lat sześćdziesiątych utrzymywał się obraz „polskiej drogi do socjalizmu” i szans rozwojowych, jakie zdawał się gwarantować Gomułka. W drugiej połowie dekady jego nazwisko wiązać się zaczęło z przykrymi ograniczeniami, jakie odczuwali obywatele. Jednocześnie, mimo powtarzających się kampanii propagandowych i policyjnych, wymierzonych w „prywaciarzy” czy „złotą młodzież”, bardzo rozszerzyły się po 1956 r. i utrwaliły swą egzystencję sfery lepszego życia, widoczne na tle ulicy i mogące pobudzać resentymenty.

W latach siedemdziesiątych przeważał, jak się zdaje, negatywny obraz rządów zakończonych rozlewem krwi, a materialnie trudniejszych niż epoka Gierka. „Gomułkowskie” było monotonne życie powiatu, marazm gospodarczy, kult oszczędności, zaściankowość i skostnienie. Michał Głowiński odnotował w 1976 r.: „Wydaje mi się, że w mowie potocznej – zwłaszcza ludzi prostych – przymiotnik »gomułkowski« stał się powszechnie stosowanym określeniem budownictwa mieszkaniowego. [...] Rzemieślnik, który wykonywał u mnie różne prace, narzekał na swoje mieszkanie, ciasne i z ciemną kuchnią – i określił je właśnie jako gomułkowskie. Tak zbudowanymi domami zapełniona została duża część warszawskiego śródmieścia (nie mówiąc już o innych miastach), a więc będzie okazja stykania się z nimi jeszcze przez dziesiątki lat. Niewykluczone więc, że to właśnie użycie przymiotnika »gomułkowski« się utrwali i na stałe wejdzie do polszczyzny, tak jak do niej weszły np. sławojki”¹¹.

Im bardziej lata rządów Gomułki się oddalały, tym wyraźniej rysowała się jednak ich biała legenda, która miała rozmaite uwarunkowania. Po pierwsze, sprzyjał jej dramatyczny kryzys cywilizacyjny. Na posiedzeniu Komisji Krajowej „Solidarności” w sierpniu 1981 r. jeden z delegatów marzył, „żeby rynek żywności był taki, jak w gomułkowskich czasach, kiedy można było normalnie coś kupić”¹². Po drugie, przekonanie o pełnym skorumpowaniu elity politycznej w czasach Edwarda Gierka, wzmacniane przez rządową propagandę lat 1980/1981,

⁹ J. Mond, *Władysław Gomułka*, „Kultura” 1963, nr 7–8, s. 183.

¹⁰ AAE, Europe 1956–1970, Pologne, sygn. 2480, 27–3–3, k. 11, Charpentier, Essai de biographie [...] de Wladislaw Gomułka [...], 16 III 1963 r.; fiche: M. Cyrankiewicz, bd., nlb.

¹¹ M. Głowiński, *Peereliada. Komentarze do słów 1976–1981*, Warszawa 1993, s. 14 (notatka z 20 XI 1976 r.).

¹² Wypowiedź delegata Sawickiego; zapis udostępniony przez Archiwum Solidarności w internecie: archsol.pl/pliki/KKPsierpien1981.doc.

uszlachetniać mogło obraz zgrzebnych lat sześćdziesiątych oraz osobę Gomułki. „Przebaczyli, zapomnieli? Nie. Czują się tylko mniej przez niego okłamani. Nie oszukiwał, nie uśmiechał się i nie łudził. Od początku warczał, a później zdierał gardło. Ten się nie zbogacił. Chciał Polski bez samochodów, ze wspólnymi kłozetami na piętrach, trzymał kraj w biedzie, dusił, ale oszczędzał. Wiedzą, że zostawił trzysta milionów w kasie państwa”¹³ – pisał o potocznym wspomnianiu Gomułki i jego rządów Kazimierz Brandys pod koniec 1980 r. Po trzecie wreszcie, już w okresie stanu wojennego szukający legitymizacji reżim odwoływał się do mitu „pięknego początku” Polski Ludowej, czyli lat 1945–1948, odnawiając wizerunek Gomułki jako komunisty-patrioty. Pamięć zmarłego w 1982 r. byłego szefa partii została publicznie uczczona przez liderów politycznych.

Jak się okazało, także kontekst rozpoczętej w 1989 r. tzw. transformacji ustrojowej i nowego życia gospodarczego sprzyjać mógł podtrzymywaniu białej legendy. Felietonista stołecznego dziennika tak wspominał w 1990 r. Warszawę lat sześćdziesiątych: „Dążymy wielkimi krokami do Europy. Pamiętam czasy, kiedy jeszcze byliśmy głęboką Azją. Warszawa tętniła życiem, nie brakowało na Marszałkowskiej czy w Alejach Jerozolimskich kolorowych neonów. Jasno oświetlony ówczesny Cedet zapraszał do wejścia, zanim stał się Smykiem. W Szanghaju, barze Mazowsze, w Smakoszu czy nie istniejącej Kameralnej był ruch i gwar”. Zestawiał ją z miastem współczesnym: „Słabo oświetlone ulice już wczesnym wieczorem są puste. Lokale – niby domy przedpogrzebowe. [...] Czy w chaosie nieświeżych produktów i literackiej szmiry, tandetnych błyskotek i rozlatujących się zegarków elektronicznych, obcojęzycznych reklam, szmuglu i cenowego oszustwa dzisiejsza Warszawa wyobraża sobie »europeizację«?”¹⁴. Trwało także wspomnienie bogatego życia kulturalnego, znakomitego filmu, plakatu, kabaretu. Zdawały się one jaśnieć niezwykle blaskiem na tle skomercjalizowanej rozrywki lat dziewięćdziesiątych. Kilka lat po upadku komunizmu Mieczysław Kochanowski zastanawiał się: „kto wie, czy pod pewnymi względami nie byliśmy wtedy bardziej Europejczykami, niż dzisiaj nimi jesteśmy. A przede wszystkim Warszawa była wtedy, przez ten krótki paroletni okres, jednym z bardziej interesujących ośrodków kulturalnych ówczesnej Europy”¹⁵.

Nie ukazała się dotąd żadna monografia społeczno-politycznych dziejów „małej stabilizacji”, a uwagę historyków przykuwały kryzysy (1956, 1968, 1970) oraz represje i kształtowanie się opozycji. Sfery te mają bardzo bogatą literaturę, która przenosi raczej ponury obraz lat gomułkowskich. Ostateczne fiasko polityczne i gospodarcze rządów Gomułki przesłania w dużym stopniu typowe aspiracje i osiągnięcia ówczesnych obywateli PRL, zanurzonych na ogół w rzeczy-

¹³ K. Brandys, *Miesiące 1978–1981*, Warszawa 1997, s. 337 (zapis z XI–XII 1980 r.).

¹⁴ S. Jurkowski, *Mały Franio*, „Życie Warszawy” z 28 VIII 1990 r.

¹⁵ M. Kochanowski, *O stołeczności, europejskości i kulturze*, w: *Warszawa u progu XXI wieku. Materiały Sympozjum Naukowego*, Warszawa, 24 VI 1996, Warszawa 1996, s. 29.

wistości, postrzeganej jako przyjaźniejsza niż wszystko, na co można było liczyć we wcześniejszych dekadach.

„Coś niecoś się uzbierało”

Halina, urodzona na początku lat dwudziestych w rodzinie inteligenckiej o tradycjach szlacheckich, w okresie okupacji straciła męża, rozstrzelanego przez Niemców. Została sama z dwojgiem dzieci i matką, żyjąc w „nieprawdopodobnej nędzy”. Po wojnie wstąpiła do partii i dokończyła studia historyczne, a w 1950 r. poznała studenta architektury, rówieśnika wywodzącego się z rodziny chłopskiej. Znamienna była okoliczność spotkania: organizacja partyjna postawiła Halinę przed swego rodzaju sądem koleżeńskim, ponieważ wyczerpana chorobą odmówiła podjęcia się prac organizacyjnych. Przyszły mąż był jedyną osobą, która stanęła w jej obronie. W 1953 r. po trudnej ciąży urodziła córkę, po czym została dyscyplinarnie zwolniona z pracy (nie wiemy, jakiej), ponieważ długo nie była w stanie jej podjąć. Warunki mieszkania z matką, sprawującą dyktatorską władzę w domu i nie najlepiej odnoszącą się do zięcia, były powodem przykrości, które zakończyła dopiero zamiana mieszkania na dwa mniejsze. Halina tak opisywała swoją sytuację na początku lat sześćdziesiątych: „Mąż jest architektem. Zarabia przeciętnie 4000–5000 zł miesięcznie, łącznie z wszystkimi premiami oraz pracami dodatkowymi. Ja też od czasu do czasu coś zarobię. Mieszkanie mamy skromnie urządzone. Mamy pianino, pralkę, odkurzacz i lodówkę. Telewizora nie mamy i wcale jego braku nie odczuwamy. Chodzimy dość dobrze ubrani i nieźle się odżywiamy. Dużą pozycję w naszym budżecie stanowią książki, czasopisma, encyklopedie oraz rozrywki kulturalne (teatry, kina, koncerty). Wydatki te sięgają 500 zł miesięcznie, czasem nawet i więcej. Druga pozycja »niejadłalna« w naszym budżecie to, niestety, lekarze i lekarstwa. Dwa, trzy razy w roku idziemy gdzieś potańczyć. Nie mamy absolutnie żadnych oszczędności. Oboje z mężem nie potrafimy wykrzesać z siebie entuzjazmu dla drobnego ciułania. Zbyt wiele już w naszym życiu było głodu, wyrzeczeń i odejmowania sobie od ust, abyśmy chcieli narzucać sobie dobrowolnie podobne ograniczenia. Zresztą, ogólna sytuacja na świecie nie usposabia do optymistycznego planowania na wiele lat naprzód. Mamy już po 40 lat, niczego dobrego w życiu nie użyliśmy”¹⁶.

Spontanicznie przyjęte przez publicystów już na początku lat sześćdziesiątych, określenie „mała stabilizacja” oddawało w trafnym skrócie coś trudniej wyrażalnego. Dramat Tadeusza Różewicza *Świadkowie* albo *Nasza mała stabilizacja*, opublikowany w 1962 r. i dwa lata później wystawiony na scenie, był spojrzeniem na kulturę epoki, a fragment jego tytułu wszedł do zbioru „skrzydlatych słów”.

¹⁶ *Jaka jesteś rodzino?*, oprac. M. Parzyńska, I. Tarłowska, Warszawa 1963, s. 96 i n.

„MEŻCZYZNA [...] *Siada przy stole. Zakłada nogę na nogę.* Lubię po posiłku posiedzieć. Wiesz [...] przyszło mi do głowy, że wiary i ideologie powinny być jak pigułki. Nie powinny rozdzierać, kaleczyć. Ale powinny być w działaniu łagodne i oczyszczające. Przecież to już druga połowa XX wieku, na miłość boską. Wracamy powoli do równowagi, a tu nad głową jakieś chmury się zbierają... Coś niecoś się dokupiło...

KOBIETA Coś niecoś się odłożyło.

MEŻCZYZNA Coś niecoś się uzbierało.

KOBIETA Jakoś się wreszcie ułożyło... Chyba mamy prawo wiedzieć, co nas czeka”.

Klimat społeczny tych lat naznaczony był przez żywe wspomnienie wojny. „Ta wojna zdecydowała o naszym życiu – pisał Stefan Kisielewski, urodzony w 1911 r. – przekreśliła wszystko, zmarnowała naszą młodość i wiek dojrzały, wyrwała nam sześć lat życia, przekreśliła marzenia o Polsce całkiem wolnej – i tak cud, że żyjemy”¹⁷. Przeważająca większość dorosłych mieszkańców Polski sięgała wspomnieniami przynajmniej czasów okupacji. Pod koniec lat sześćdziesiątych schodziły ze sceny aktywnego życia pokolenia urodzone w XIX w. W każdym zakładzie pracy spotkać można było osoby wspominające swą pracę w Drugiej Rzeczypospolitej. Choć więc wojna stworzyła zasadniczą nieciągłość losu zbiorowego, dawny świat był wciąż dobrze pamiętany – jego nędza i sfery powodzenia, ceny, formy życia towarzyskiego, „przedwojenna jakość” urzędów i materiałów, rywalizacja polityczna i bezrobocie. Coraz większe znaczenie miała natomiast inna nieciągłość – wchodzenie w samodzielne życie pokoleń urodzonych i uformowanych już po wojnie. Gdy wystawiano dramat Różewicza, rocznik 1945 wchodził w pełnoletność.

Nieciągłość – niedopasowanie bohatera do scenerii życia i do otaczających go ludzi – ukazywał sugestywnie na ekranach Zbigniew Cybulski, bohater, który pamięta: wciąż młody (a przynajmniej niestary), lecz już odcięty mentalnie od niepamiętającej młodzieży. Wysmakowany, kręcony w na wpół zrujnowanym Gdańsku film „Do widzenia, do jutra”¹⁸, pokazuje taką relację między Cybulskim – Jackiem a młodą Francuzką Margueritte. W filmie „Sam pośród miasta”¹⁹ Cybulski – inżynier Konrad nie może nawiązać porozumienia z osiemnastolatką, spotkaną w warszawskiej knajpce. W jednym z kadrów samotnie stoi na tle dramatycznych ruin kontrastujących z jasnymi nowymi blokami²⁰. Resztki

¹⁷ S. Kisielewski, *Dzienniki*, Warszawa 1996, s. 273 (1 IX 1969 r.).

¹⁸ 1960, reż. Janusz Morgenstern, wyk. Teresa Tuszyńska, Zbigniew Cybulski, Grażyna Muszyńska, Roman Polański i in.

¹⁹ 1965, reż. Halina Bielińska, wyk. Zbigniew Cybulski, Ewa Wiśniewska, Lucyna Winnicka i in.

²⁰ Ulica Bielańska w Warszawie. W 2011 r. ruiny gmachu Banku Państwa istnieją nadal, choć w bardziej zredukowanej, niż na filmowym ujęciu, postaci; przystąpiono zresztą do budowy biurowca, który „pochłonie” częściowo ruinę.

przeszłości i twory terażniejszości składają się na świat niespójny, pozbawiony „tkanki łącznej”.

Przejścia okupacyjne, a także ciężkie doświadczenia stalinizmu, które w latach sześćdziesiątych musiały być publiczną tajemnicą, zostawiły ślady psychiczne, dostrzegalne w międzyludzkim obcowaniu, w specyficznych kodach porozumienia i trwałych dystansach. Pod wpływem przeżyć z Pawiaka i Majdanka pewna młoda kobieta nie umiała nawiązać bliskich kontaktów z ludźmi i postanowiła być sama już „do końca życia”. Po kilku latach poznała jednak w przedszkolu, którego była kierowniczką, pewnego stolarza. Mężczyzna „podołał się” jej i w 1955 r. wzięli ślub. „Nie mieliśmy nawet na czym spać. Spaliśmy na małym łóżeczku dzieciennym. Po jakimś czasie oddałam koleżance swój kostium w zamian za tapczan, ponieważ nie mieliśmy za co go kupić. Poza tym nie mieliśmy żadnych mebli. Mieszkaliśmy w baraku, a ubranie wieszaliśmy na gwoździach powbijanych w ścianę”. Na początku lat sześćdziesiątych małżeństwo zajmowało wciąż to samo lokum, dawną pakamerę robotniczą, cokolwiek lepiej zagospodarowaną i umeblowaną. Trudne warunki życia rekompensowało kobiecie poczucie przywiązania i szacunku dla męża, który – jak wyznała – stał się jej „największym szczęściem”²¹.

Oblicze materialne „małej stabilizacji” było zarazem skromne i – na tle niedawnych doświadczeń – dostatnie; aspiracje zarazem bardzo ograniczone i rozbuchane. Chwiejna równowaga między ulgą z oddalenia się naprawdę złych czasów a zniecierpliwieniem wywołanym stagnacją wydaje się charakterystyczna dla atmosfery społecznej lat sześćdziesiątych. Dążenie do stabilizacji – materialnej, mieszkaniowej, rodzinnej – było po latach poniewierki potrzebą podstawową. Społeczeństwo PRL nosiło cechy zbiorowości wychodzącej z biedy. Polacy mieli przeciętnie małe zasoby odzieży i zwracali uwagę głównie na jej praktyczność. Jedli tłusto, uważając mięso za podstawę dobrego odżywienia i symbol dostatku, mniej chętnie sięgając po ryby, warzywa i owoce. Zanurzeni byli w świecie spraw rodzinnych i domowych, nie poczuwając się do większej odpowiedzialności ani za życie publiczne, ani publiczną przestrzeń osiedla czy ulicy. Wyrażała się w tym nieufność wobec (różnego szczebla) władz, lecz także koncentracja na dobrach z trudem pozyskanych. „Dorabiano się”, meblowano, starano zapewnić rodzinie pewien komfort i prestiż.

W publicznych dyskusjach dziedzictwem wojny i okupacji tłumaczono skłonność do zadowalania się skromnym poziomem życia, ale i nadopiekuńczość wobec dzieci, nerwowość i agresywność w miejscach publicznych, niesłowność i niepunktualność, także rodzaj głębszej świadomości, niedostępnej rzekomo materialistycznym społeczeństwom Zachodu. Zarazem poprawa warunków życia wyraźniej kierowała zainteresowania zbiorowe ku „urządzaniu się”, osadzeniu

²¹ *Jaka jesteś rodzino?...*, s. 84.

na trwałe w rzeczywistości i obudowywaniu życia dobrami materialnymi. Wywoływało to różnorodne krytyki w publicystyce lat sześćdziesiątych. Jeden z jej nurtów miał charakter intelektualnego sprzeciwu wobec umasowienia, a więc wulgaryzacji kultury, odpowiedniej dla nowego mieszczanina. Inny nurt związany był z propagandą polityczną, apogeum zaś osiągnął w kampanii marcowej 1968 r., gdy na celowniku znaleźli się m.in. ci, którzy dorobili się rzekomo kosztem ludzi pracy. Inny jeszcze, występujący na forach partyjnych, odwoływał się do komunistycznych wzorców ascezy i kolektywizmu, z którymi sprzeczna być mogła nawet skromna pralka „Frانيا”. „No przecież to nie jest to, co powinno być w ustroju socjalistycznym. Kupować przyrząd, który czynny jest w ciągu tygodnia przez pół godziny i z którym ma się dużo kłopotów, jak trzeba zreperować, czy coś w tym rodzaju. Wydaje mi się, że bezwzględnie pralnie muszą być robione dla całych zespołów lokatorów” – twierdził warszawski aparatczyk, grząc w 1961 r. przeciwko „drobnomieszczańskiemu sposobom zaspokajania potrzeb”²². Nie były to poglądy dominujące w ówczesnym aparacie, który nie odbiegał aspiracjami od przeciętnej, a którego część miała ponadprzeciętne możliwości zaspokajania tych aspiracji. Wywoływało to cykliczne wewnątrzpartyjne kampanie przeciwko „atmosferze hołdowania złotemu cielcowi”, „pędowi do bogacenia się”, „dążności do budowania domków i willi, kupna samochodów itp.”²³ Fala tego rodzaju krytyk rozlała się po ujawnieniu tzw. afery mięsnej, ukazującej powiązania aparatu z szarą strefą²⁴.

„Mała stabilizacja” miała twarz Instytucji, zapewniającej etat, stałą pensję, którą uzupełniały dodatki, nagrody, dopłaty do wczasów pracowniczych. Siła Instytucji wyrażała się w zdolności zapewnienia pracownikom mieszkania, talonu na samochód, lepszego miejsca na wczasach, wysłania w atrakcyjną delegację, najlepiej zagraniczną. Miejsce w (nie)formalnym układzie decyzyjnym, dobre stosunki z kierownikiem, umiejętne zabieganie o własne sprawy w strukturach biurokratycznych współdecydowały o pozycji społecznej. Oddalanie się od nadziei Października sprzyjało skupianiu się na tego rodzaju zabiegach i na sprawach prywatnych, nie narażonych teraz na takie ograniczenia i ingerencje, jak w dobrze pamiętanych latach stalinizmu. Sprzyjało to konformizmowi. „Kilka osób – pisał przybysz z zagranicy – [...] zwróciło mi w Polsce uwagę na pewną, rozwijającą się wciąż cechę, którą nazwałbym »właściwościami bożej krówki«. W dzieciństwie zauważyłem, iż boża krówka, dotknięta palcem lub źdźbłem trawy pozornie martwieje. Jest to oczywiście refleks samoobrony, jedynie

²² Archiwum Akt Nowych (dalej – AAN), KC PZPR, 237/VII-4531, k. 65, Plenum Komitetu Warszawskiego PZPR, 25 II 1961 r.

²³ *Ibidem*, KC PZPR, 237/VII-5103, k. 223, 251, Wypowiedzi z Plenum Komitetu Warszawskiego PZPR, 16 X 1964 r.

²⁴ Szerzej na ten temat – zob. D. Jarosz, M. Pasztor, *Afera mięsna: fakty i konteksty*, Toruń 2004.

możliwej dla tego pięknego stworzenia. Otóż w Polsce pewien procent ludzi, gdy się ich interpeluje kłopotliwym pytaniem czy uwagą, martwieje jak owe boże krówki. Nie słyszą. Nie rozumieją. Zwolna wyrabia się w społeczeństwie głuchota na wszystkie zagadnienia natury szerszej²⁵. Syndrom bożej krówki utrwalał się w atmosferze politycznej, w której coraz mniej miejsca zostawiano na improwizację, indywidualną aktywność i nowatorstwo. Wiedzieli o tym dobrze animatorzy ruchu spółdzielczego, który przez pewien czas po 1956 r. nabrał rozpędu, później jednak przygasł. Logika państwa scentralizowanego i biurokratycznego hamowała niezależne poczynania. Jednocześnie jednak żywioł społeczny lat sześćdziesiątych był młody, szukał miejsca w życiu: pokolenie wyżu demograficznego wypełniało szkoły, wlewało się na rynek pracy. Oczekiwano napływu miliona ludzi w latach 1961–1965 i półtora miliona w następnej pięcioletce. Zarazem owej sile roboczej nie zostawiano – z powodów politycznych – większych możliwości realizacji w sektorze prywatnym i nie dopuszczano myśli o masowej emigracji zarobkowej, na jaką pozwalały już władze Jugosławii. Mieszkańcy PRL wzrastali więc, pracowali i robili kariery w kręgu wzorów i możliwości, określanych przez instytucje państwowe.

„Pan nie wiesz, kto ja jestem!”

W połowie lat sześćdziesiątych kumulowały się ważne zjawiska, które nadały ton codzienności. Był to okres przesilenia w urbanizacji Polski: już ponad połowa jej obywateli mieszkała w miastach. Od 1960 r. obserwowano ogólny spadek migracji, ale zwiększenie się salda przemieszczeń ze wsi do miast. Ogólna migracja spadła z 1,2 mln w 1960 r. do 0,8 mln w 1967 r., lecz roczne migracje wieś–miasto wzrosły z 75 do 135 tys. Spadał przyrost naturalny, więc po raz pierwszy od 1950 r. przyrost wędrowniczy stawał się zasadniczym składnikiem wzrostu ludności miast. Największe natężenie miały migracje osób w wieku 20–29 lat, związane najwyraźniej z poszukiwaniem pracy i zmianami pozycji społecznej. Obserwowano wzrost migracji kobiet. Na połowę dekady przypadł także największy w XX w. odsetek osób uczących się w społeczeństwie polskim. Jeśli w roku szkolnym 1937/1938 do szkół powszechnych i szkół drugiego stopnia zapisanych było niespełna 14% obywateli, to w roku 1965/1966 aż 23%. Liczba studentów, która na początku lat pięćdziesiątych sięgnęła stu tysięcy, pod koniec następnej dekady była dwukrotnie większa. Co znamienne, wśród ogółu absolwentów wyższych uczelni z powojennego ćwierćwiecza, przekraczającego pół miliona, dominowali absolwenci szkół technicznych (ponad 160 tys.). Politechniki i uniwersytety wdrażały do pracy w gospodarce PRL; kontakt

²⁵ M. Lurczyński, *op.cit.*, s. 144.

intelektualny i fachowy z ośrodkami zagranicznymi był doświadczeniem niewielkich grup.

Cechą ówczesnej polskości była daleko posunięta homogenizacja. W państwie pozostały bardzo niewielkie skupiska mniejszości żydowskiej, a synagogi i cmentarze ocalałe z wojny były w większości zaniedbane. Macewy wykorzystane przez Niemców do brukowania ulic nadal w nich tkwiły. Zatarły się urbanistyczne ślady dzielnic żydowskiej i getta w Warszawie. Rozbierano budynki drewniane i miasta Polski wschodniej gubiły wśród nowej, blokowej zabudowy cechy swoistości kulturowej. Większe skupiska Łemków w kilku powiatach ziem zachodnich nie zaznaczały swojej tożsamości. Jak mówił kierownik wiejskiej szkoły w 1958 r., „są potulni, zastraszeni, nie lubią stosowanej do nich nazwy »Ukrainiec«. Wszelkimi sposobami chcą zatrzeć pozory swojej odrębności”²⁶. Następowwały zresztą ciągle ruchy migracyjne, pozbawiające Polskę mniejszości. W drugiej połowie lat pięćdziesiątych wyjechało blisko 300 tys. osób, głównie Niemców i Żydów. Emigracja z kraju wielokrotnie przekraczała imigrację. W latach 1961–1965 osiedliło się w PRL niecałe 14 tys. przyjezdnych, a wyjechało 105 tys. ludzi. W drugiej połowie dekady przyjechało około 10 tys., a wyjechały prawie 94 tys. „I jakżeż nudna ta Polska będzie – komentował Stefan Kisielewski – gdy zbraknie tu resztki »krajowych cudzoziemców«. Jest konserwa »wołowina w sosie własnym« – to będzie Polska Ludowa w sosie własnym”²⁷.

Równocześnie zatarły się różnice dzielnicowe, tak charakterystyczne dla międzywojennej Polski, a odczuwalne jeszcze wśród konfrontacji mas migrantów pierwszych lat powojennych. Model nauczania szkolnego oraz rosnący wpływ mass-mediów i urbanizacja kultury uśredniały standardy językowe. Mieszkańcy Polski mówili coraz bardziej jednolicie; kadry administracji i nowa inteligencja w dużym stopniu zatraciły jednocześnie wyróżniające je dawniej bogactwo wysłowienia. Słabły dystynkcje w wyglądzie zewnętrznym i sposobie bycia. „Pan nie wiesz, kto ja jestem” – typowa pogroźka w czasie drobnych sprzeczek między nieznanymi oddawała chyba najlepiej tę homogenizację. Centralistyczne zarządzanie i wersja nowoczesności, jaką ze sobą niosło, powodowało inne jeszcze objawy „statystyczności” PRL. W całym kraju podobnie urządzone były sklepy, mała architektura w miastach, pawilony handlowe i bloki mieszkalne. Nazewnictwo powszechnie spotykanych urzędów i przedmiotów utrwałać miało swoisty patriotyzm gospodarczy. Fabryki i ich wyroby stały się „nasze”, przestały należeć do indywidualów dążących do zysku lub kosmopolitycznych organizacji handlowych. Kreślona w nazwach handlowych mapa Polski prezentowała w zasadzie ziemię na zachód od Wisły, nie tylko dlatego, że większość dużych wytwórni tam

²⁶ A. Kwilecki, *Aktualne zagadnienia etniczne Łemków w Polsce*, „Etnografia Polska” t. XII, 1968, s. 90.

²⁷ S. Kisielewski, *Dzienniki*, Warszawa 1997, s. 50 (14 VII 1968 r.).

się znajdowała. Znaczenie miały aspekty cywilizacyjne i polityczne, podkreślanie polskości (czy swojskości) tzw. Ziemi Odzyskanych i szerokiego dostępu do morza. Palono papierosy „Bałtyk”, jeżdżono furgonetkami „Nysa”, jako sukces polskiej myśli technicznej przedstawiano mózgi elektronowe „Odra”.

Zacieranie odrębności i wtapianie się w świat „nowoczesny” wydaje się jednym z żywiołowych dążeń społecznych lat sześćdziesiątych, zwłaszcza grup aspirujących do kultury miejskiej. Znamienne były wyniki ankiety, przeprowadzonej w Płocku i okolicy w 1962 r. Pytano o wybór zawodu dla syna i córki. Wśród mieszkańców Płocka tylko zawód krawca i niewykwalifikowanego robotnika budowlanego uważane były za mniej korzystne, niż zajęcia rolnicze, natomiast w dwóch wsiach podpłockich zawód rolnika znalazł się (w wyborze dla syna) na samym końcu skali. Mieszkańcy wsi ocenili, że jedynie w wypadku córki zostanie niewykwalifikowaną robotnicą budowlaną jest czym gorszym, niż praca na gospodarstwie²⁸. Oczywiście, należy wziąć pod uwagę specyfikę okolicy: ubóstwo wsi i budowę w Płocku ogromnych zakładów przemysłowych, pachnących zarobkiem i szansą na odmianę losu. W innych regionach Polski poglądy nie musiały być tak wyraziste. Na Śląsku Opolskim rodzice znacznie chętniej myśleli o pozostaniu córek na wsi, niż pójściu do przemysłu czy administracji, ale z zawodem rolnika zwyciężało zdecydowanie także tutaj zatrudnienie w rzemiośle, szkolnictwie, ochronie zdrowia czy handlu²⁹. Włączanie się w świat etatów i stałych pensji oznaczało przeważnie pragnienie upodobnienia do innych, zatrzymania deprecjonujących cech „wiejskości”, nabrania zewnętrznych cech „osoby kulturalnej”. Pójście „do bloków” odbierane bywało podobnie, jako awans i wtopienie w społeczność korzystającą z wygód i możliwości, jakie daje nowoczesne miasto.

Polska wpisywała się w nowoczesność zrywając z zastanym dziedzictwem zapewne w podobnym stopniu, jak zrywała z nim nowoczesność Europy Zachodniej, niosąca programy systematyzacji, *aménagement de territoire*, powołujące do życia betonowe osiedla mieszkaniowe wokół największych miast francuskich, belgijskich, brytyjskich. Skupiające przede wszystkim ludność robotniczą i napływową, pozbawione były klimatu starych dzielnic, w których życie toczyło się na podwórzach, przed domami, w bistrach. Nowe osiedla w państwach socjalistycznych stawały się „pustyniami” w jeszcze wyższym stopniu. PRL-owska wersja nowoczesności podszyta była problemami gospodarki centralnie sterowanej z jej niewydolnością usług, dysproporcjami, słabą jakością wykonawstwa i utrzymania. Francuska dziennikarka oceniała, że wszystko w Polsce jest „ubogie, szare, trochę zaniedbane, zakurzone”³⁰.

²⁸ *Statystyczny opis warunków rozwoju kultury w PRL w latach 1946–1970*, oprac. A. Wallis, Warszawa 1974, s. 89.

²⁹ Badania ankietowe z 1959 r. *Statystyczny opis...*, s. 94.

³⁰ E. Fournier, *Pologne*, Paris 1963, s. 133.

„Błagają o szybką budowę...”

Polska była krajem, którego życiu nadawał wyraz klimat małego miasteczka³¹. W 1960 r. istniało 889 miast, z czego niemal połowę (405) stanowiły te najmniejsze, do pięciu tysięcy mieszkańców, których ludność w sumie tylko trochę przewyższała zaludnienie ówczesnej Warszawy. Miasteczka te miały często cechy większych wsi, znaczna część mieszkańców utrzymywała się z rolnictwa, brukowany był tylko rynek. Wyposażenie techniczne miast polskich było odległe nie tylko od sytuacji w krajach Zachodu, ale i w Czechosłowacji czy na Węgrzech. Było także bardzo zróżnicowane regionalnie, oddając wciąż w dużym stopniu podziały zaborcze oraz, oczywiście, powojenną zmianę konfiguracji państwa. Wystarczy wskazać, że na początku lat sześćdziesiątych tylko jedno wśród 69 miast województwa warszawskiego miało zarówno sieć wodociągową, jak kanalizacyjną i gazową, a 35 miast nie miało żadnej z tych instalacji. Bardzo znamienita była odwrotność proporcji w województwie wrocławskim. Tam na 97 miast aż 62 miały wszystkie rodzaje sieci, a tylko jedno – żadnej.

Małomiasteczkowe życie stawało się, wskutek ciśnienia kultury wielkomiejskiej oraz możliwości migracji, synonimem braku perspektyw, zamknięcia w kręgu układów i odcięcia od nowoczesności. Powieść Kazimierza Orłosa *Cudowna melina* ukazuje miasteczko, którego obraz inspirowany był doświadczeniami pisarza z pobytu w Lesku. Odmalował elitę władzy, złożoną z szefa partii, przewodniczącego rady narodowej i kierowników jej wydziałów, majora MO, powiatowego architekta, szefa miejscowego przedsiębiorstwa budowlanego, dyrektorów szpitala i szkoły, kilku jeszcze postaci. Duża część z nich tworzy układ decydujący nieformalnie o większości spraw w miasteczku, a przede wszystkim o pieniądzach, spojony dodatkowo współnictwem w dochodach z przemytu. Wymowa powieści jest pesymistyczna – próba walki z tą bezkarną elitą kończy się porażką. Orłoś sportretował społeczność lokalną jako bierną wobec nadużyć i nie wspierającą niepokornych jednostek.

Innym obliczem małomiasteczkowej stabilizacji była widoczna wciąż trwałość tradycyjnych kontaktów ze wsią, symbolizowana przez targi i jarmarki na rynkach. Podróżny z zagranicy opisał zetknięcie z podwarszawskim miasteczkiem w 1960 r.; dojechał tam pekaesem, zastając wtorkowy targ na rynku: „Masa wozów, worki z ziemniakami, białe góry kapusty, zbite z drzewa skrzynki skąd dochodził jazgot gęsi i chrząkania świń. I pośród tego wszystkiego kręcący się szary tłum chłopów. Wzdłuż lewej strony rynku stał rząd budek obwieszonych kolorową pstrokacizną towarów. Z narożnej kamieniczki, w której mieściła się »Gospoda Ludowa«, wychodzili i wchodzili ludzie. [...] W zadymionej salce,

³¹ Por. J. Chrobaczyński, *Przyczynek do życia codziennego małego miasta w PRL-u*, w: *PRL z pamięci*, red. C. Robotyki, Kraków 2001.

w płaszczach, gdzieś w czapkach na głowach siedziały i piły gromady mężczyzn. Na każdym stole stała butelka wódki, szklanki, talerzyki z ogórkami, chlebem, kawałkiem mięsa i kilka butelek oranżady. Przy kontuarze w ścisłości i gwarze tłumek popijał piwo³². Upijanie się w knajpach przyrynkowych w dni targowe skłaniało lokalne władze do ustanawiania okresowej prohibicji, niezbyt na ogół skutecznej.

Oferta targów i jarmarków kurczyła się zresztą i specjalizowała. W województwie łódzkim obserwowano, że „na targach tych kupuje się przede wszystkim przedmioty służące do unowocześnienia pracy w gospodarstwie rolnym czy też dla gospodyń. Tak więc przywozi się stamtąd narzędzia i maszyny rolnicze [...] pralki, nowoczesne kuchnie do gotowania tzw. »szamotoki« itp., czasem przedmioty służące do ozdobienia mieszkania, szkło, porcelanę, bardzo rzadko ubiory³³. W mniejszych miejscowościach oferta targowisk sprowadzała się do drobnych produktów gospodarstwa wiejskiego (drób, jaja, masło i sery) i rzemieślniczych (kosze, sita, wyroby krawieckie, drewniane itp.). Władze miejskie starały się przenosić targowiska na boczne place, a rynki zamieniać w skwery, tworząc przestrzenie dla spacerów i wypoczynku. Fotografie ukwieconych rynków stały się wizytówkami miasteczek. Jednocześnie ich wyraz społeczny zdawał się rozmywać, pozbawiony indywidualności i ciekawszych karier. Nie było ziemian, spadkobierców dużych majątków, właścicieli fabryk, browarów, kamienic – ludzi jeszcze trzydzieści lat wcześniej potężnych na tle powiatowej rzeczywistości, znanych w promieniu wielu kilometrów, jeśli nie w całym województwie. Teraz „dorabiano się”, często w niejasny sposób, latami wznoszonych domów i kilku w skali miasteczka samochodów. Stylizowany obraz takich realiów w filmie „Spotkanie w Bajce”³⁴ oddawał chyba istotę rzeczy. Wybijającą się osobą był tam lekarz „od spraw kobiecych”, który, jak komentował kierowca ciężarówki, w ciągu roku dorobił się Wartburga. W sennej kawiarni zwiślał z sufitu lep na muchy; dopłacało się 15% do rachunku za „działalność kulturalną”, czyli grę na pianinie w wykonaniu przysypiającego staruszka.

Taki obraz prowincji był przeświadczeniem rozpowszechniającym się na tle aspiracji do lepszego wykształcenia i wygodniejszego życia. Lokalne układy władzy i autorytetu funkcjonowały jednak, bywało, niezgodnie ze stereotypami. Nie brakowało cieszących się uznaniem działaczy lokalnych, którzy w ramach PZPR czy ZSL starali się pracować na rzecz społeczności, „wyrwać” pieniądze dla niej, zająć czymś młodzież, organizować kluby, teatryki czy ogniska zainteresowań. Wiele do powiedzenia miał w miasteczku ksiądz, mimo nieprzyjaznej polityki państwa. Znaczącą instytucją były Ochotnicze Straże Pożarne. Oprócz

³² J. Płot, *Skrawek ojczyzny*, „Kultura” (Paryż) 1961, z. 1–2, s. 157.

³³ O. Mulkiwicz-Goldbergowa, *Kontakty handlowe wsi*, „Łódzkie Studia Etnograficzne”, t. IX, 1967, s. 199.

³⁴ 1962, reż. Jan Rybkowski, wyk. Aleksandra Ślaska, Andrzej Łapicki, Gustaw Holoubek.

typowego „dbania o własny ogródek” realizowały się osobiste pasje. Ktoś zajmował własnym sumptem „prawdziwy samochód”, kto inny pasjonował się fotografią i miał wystawę w domu kultury, ktoś jeszcze zbierał starocie świadczące o kulturze materialnej okolicy.

Miasteczka ominięte przez przemysł skazane były jednak na „wymywanie” – zjawisko nasilone w gospodarce (czy szerzej – cywilizacji) typu sowieckiego³⁵. Zduszenie drobnej przedsiębiorczości i podcięcie korzeni lokalnego rynku pracy – oraz hierarchii społecznej – w połączeniu z „otwarcie” miasteczek wskutek migracji ku powstającym centróm przemysłowym powodowało przyspieszone starzenie się i zamieranie dawnych ośrodków rzemiosła i handlu. Stawały się „sypialniami”, których mieszkańcy dojeżdżali codziennie do dużego zakładu. W drugiej połowie lat pięćdziesiątych z niewielkiego Wyszkowa dojeżdżało do pracy w Warszawie dwa i pół tysiąca osób – brak mostu na Bugu powodował, że dookolna droga zabierała trzy godziny w jedną stronę. Mieszkańcy w coraz mniejszym stopniu identyfikowali się ze swoim miasteczkiem, myśląc o przeprowadzce. Młodzi nie chcieli dłużej „tak żyć” i migrowali, znęcani możliwością zatrudnienia się w większym mieście czy zakładzie. Dlatego właśnie lokalne społeczności starały się zabiegać o inwestycje, będące szansą na ożywienie, rozwój budownictwa, „awans”. W paryskiej „Kulturze” zwracał na to uwagę Stefan Kisielewski, polemizując z tekstem Juliusza Mieroszewskiego, który utrzymywał, że zasadnicza jest ochrona w kraju polskiej „modły życia”. Kisielewski twierdził, że „sprawa [...] nie polega na tym, żeby ktoś polskiemu ludowi odbierał jakąś dotychczasową »modłę życia« i narzucał mu nową, wrażą. Rzecz ma się zupełnie inaczej. Oto w społeczeństwie naszym rozbudzony został po wojnie apetyt na nową przemysłowo techniczną »modłę życia«, zainteresowanie zbiorowe skierowane ku ideałowi, który ja w skrócie nazywam amerykańsko-sowieckim [...]. Będąc posłem z jednego z najmniej uprzemysłowionych i najuboższych okręgów Polski – z Podlasia, stykam się często z chłopami. Czy proszą oni o zachowanie im dotychczasowej »modły życia«? Nic podobnego! Błagają o szybką budowę nowych fabryk, zakładów przemysłowych, szos”³⁶.

Decyzja o budowie zakładu przemysłowego dawała nadzieję na zmianę sytuacji mieszkaniowej. Przy nowych zakładach powstawały bowiem osiedla (choć i w tej dziedzinie polityka państwa stawała się w latach sześćdziesiątych coraz bardziej oszczędna). Jak piszą Jadwiga i Krzysztof Pachowie w monografii Pajęczna, miasteczka w Polsce centralnej: „W 1959 roku przeprowadzono badania nad lokalizacją cementowni. Wraz z nią miało być wybudowane osiedle mieszkaniowe. Pod uwagę brano trzy miejscowości: Trębaczew, Działoszyn, Pajęczno. Stało się to początkiem wielkiej, świętej wojny, wojny ostatecznie,

³⁵ A.S., Sieniawskij, *Rossijskij gorod w 1960-e – 1980-e gody*, Moskwa 1995, s. 60, 67 i n.

³⁶ S. Kisielewski, *List do redaktora „Kultury”*, „Kultura” (Paryż) 1962, z. 3, s. 75.

choć nie bez trudu, wygranej przez Działoszyn. Powstał tam nawet komitet do walki o osiedle. Pajęczno, które jako siedziba powiatu miało największe szanse, zbyt późno stanęło do walki i ostatecznie ją przegrało³⁷. Inaczej potoczyły się losy Łęczycy, pogrążonej w stagnacji wskutek „bitwy o handel”. W pierwszej połowie lat pięćdziesiątych ruch budowlany był znikomy mimo znacznych zniszczeń wojennych, nikłe sumy inwestowano w drogi brukowane „kocimi łbami” i miejskie instalacje. Przemysł ograniczał się do kilku drobnych zakładów w rodzaju wytwórni wód gazowanych, mieszalni pasz, spółdzielni cholewkar-skiej. Łęczycza wydawała się typowym miasteczkiem „bez perspektyw”. W 1954 r. zapadła jednak na szczelbu rządowym decyzja o eksploatacji miejscowych złóż rud żelaza. W ciągu kilkunastu miesięcy do miasta napłynęły setki robotników z okolicznych wsi oraz pracowników wykwalifikowanych i inżynierów z dalszych stron, z Warszawy czy Częstochowy. Rozpoczęto budowę kopalń, osiedli mieszkaniowych i towarzyszącej im infrastruktury. Wywoływało to antagonizmy, ponieważ napływowi specjaliści byli uprzywilejowani przy podziale mieszkań. Obok starej powstawała jakby nowa, inna Łęczycza³⁸. Przeważnie jednak pojawienie się inwestycji było przyjmowane z nadzieją, zwłaszcza młodszy mieszkańcy małych miast obiecywali sobie perspektywę lepszego zatrudnienia i mieszkania. Skłaniało to władze lokalne, których pozycję bardzo poprawiało „uprzemysłowienie”, do uporczywych starań. Czyniły tak władze pomorskich Chojnic, zabiegając o inwestycje na szczelbu województwa, a nawet stolicy, bo pokładano nadzieje w honorowym obywatelu miasta, marszałku Sejmu Czesławie Wycechu. Dopiero w 1971 r. lokalna elita odniesie sukces: pojawi się filia zakładów „Zremb” z Solca Kujawskiego, a zaraz potem także wielkiego „Mostostalu”³⁹.

Implantacja dużego zakładu przemysłowego zmieniała charakter okolicy. Pojawiało się zjawisko masowych dojazdów do pracy. Część rolników, zwłaszcza uboższych, wchodziła w role dwuzawodowców, wspomagających gospodarstwo z zarobku w zakładzie. Pojawiali się ludzie z dalszych stron. Jeśli budowano osiedle mieszkaniowe dla pracowników, atmosfera społeczna ulegała zwykle poważnym zmianom, oddalając się od małomiasteczkowego wzorca „życia wokół rynku”. Jak to ujął pisarz Kazimierz Brandys: „Przemysł wytwarza kierunki pośpiechu. Pięć lat temu w Puławach ludzie gapili się na przejeżdżające auto, dziś są tu już zakazy parkowania. Głównym chodnikiem idzie tłum. To już nie bajka te walące jedna za drugą ciężarowe maszyny i ludzie w ortalionowych prochowcach, z aktówkami pod pachą, z paczkami, z dziecinnymi wózkami, liczni, przeciętni, w podobnych ubraniach: masa”⁴⁰.

³⁷ J. i K. Pach, *Pajęczno poprzez wieki*, Częstochowa 2002, s. 217.

³⁸ *Łęczycza. Monografia miasta do 1990 roku*, red. R. Rosin, Łęczycza 2001, s. 503–506.

³⁹ *Dzieje Chojnic*, red. K. Ostrowski, Chojnice 2003, s. 652.

⁴⁰ K. Brandys, *Rynek. Wspomnienia z teraźniejszości*, Warszawa 1968, s. 126.

Przykład Płocka ilustruje zjawiska ogólne. Miasto o znaczącej przeszłości, lecz ominięte w XIX w. przez kolej i uprzemysłowienie, znalazło się wśród ośrodków mało chłonnych, oddziałujących jednak na najbliższą okolicę rozwiniętymi usługami rzemieślniczymi i handlem. Zanim nastąpiła „bitwa o handel” działało tam ponad tysiąc warsztatów, ponad dziewięciuset drobnych i większych kupców. Z marazmu, jaki zapanował w latach pięćdziesiątych, mogła wyrwać Płock tylko wielka inwestycja – i ta zarysowała się pod koniec dekady. Budowany kombinat Petrochemii zatrudniał w 1960 r. półtora tysiąca ludzi, a trzy lata później już 9,5 tys., czyli jedną trzecią zatrudnionych w mieście. Specjaliści spawacze, monterzy czy elektrycy przyjechali do pracy z daleka, większość zatrudnionych pochodziła jednak z okolicznych wsi i z nich dojeżdżała codziennie. Byli to przeważnie ludzie młodzi, mieli najwyżej trzydzieści kilka lat, na ogół żonaci, nie podwyższający kwalifikacji nie tylko z powodu braku ambicji, ale i braku czasu. Połowa pokonywała przecież w obie strony kilkadziesiąt kilometrów, niektórzy ponad sto. Kontaktowali się z miastem głównie jako z zakładem pracy. Powstała duża, ale słabo związana społeczność, zurbanizowana powierzchownie czy fragmentarycznie⁴¹.

Nieco inny był przypadek Kraśnika Lubelskiego⁴². Obok tego miasteczka o średniowiecznej metryce, typowego ośrodka handlu i rzemiosła, rozpoczęto w 1937 r. budowę zakładów metalowych Centralnego Okręgu Przemysłowego. Powstało osiedle dla pracowników fabryki – w większości napływowych i niezwiązanych z Kraśnikiem. Osiedle to, w czasie okupacji zajęte przez wojsko niemieckie, a częściowo zamienione w obóz pracy, zostało po wojnie wpisane w program inwestycyjny Planu Sześcioletniego i znacznie rozbudowane, a w 1953 r. uzyskało status osobnego miasta o nazwie Kraśnik Fabryczny. Rosło szybko, zbliżając się w połowie lat sześćdziesiątych do wielkości starego Kraśnika (który miał wtedy około 13,6 tys. mieszkańców, podczas gdy Fabryczny około 11,6 tys.). Oba Kraśniki dzieliło kilka kilometrów drogi, ale przede wszystkim odmienne ukształtowanie funkcji miejskich. Stary Kraśnik był miasteczkiem handlowym, rzemieślniczym i ośrodkiem administracyjnym, ale prawie połowę jego pracującej ludności stanowili rolnicy. Natomiast Kraśnik Fabryczny był osiedlem pracowników dużej fabryki, a więc skupiskiem robotników, techników i inżynierów. To nowe miasto odróżniało się także prawie dwukrotnie większym zatrudnieniem w oświacie, służbie zdrowia, placówkach kulturalnych. Jego mieszkańcy byli statystycznie młodszy, niż mieszkańcy starego Kraśnika. Charakterystyczna dla nowego ośrodka przemysłu nadreprezentacja płci męskiej,

⁴¹ M. Olędzki, *Dojazdy do pracy. Zagadnienia społeczne i ekonomiczne na przykładzie rejonu płockiego*, Warszawa 1967.

⁴² J. Turowski, P. Kryczka, *Struktury społeczne miasta „starego” i nowego miasta przemysłowego. Na podstawie badań Kraśnika Lubelskiego i Kraśnika Fabrycznego*, w: *Studia socjologiczne i urbanistyczne miast Lubelszczyzny*, red. J. Turowski, Lublin 1970, s. 154–182.

zwłaszcza młodych kawalerów, nadawała atmosferę miastu. Wśród mieszkańców znacznie więcej było takich, którzy pragnęli odmiany losu, nie byli zdecydowani, co w życiu robić i gdzie osiąść. Znacznie słabszy, niż w starym Kraśniku, był patriotyzm lokalny. Zwłaszcza mieszkańcy ulic skupionych wokół rynku starego Kraśnika zachowali elementy starej tożsamości, wyraźnie przeciwstawiając się „wsi”, za którą uznawali także osady włączone administracyjnie w granice swego miasta. Duże znaczenie mentalne miały tam kategorie statusu – urzędnika, inteligenta, prywatnego przedsiębiorcy, rolnika – oraz stan posiadania, mierzony wielkością domu i hektarami gruntu. W Kraśniku Fabrycznym natomiast jako główne dystynkcje jawiły się pozycja zawodowa, wykształcenie i miejsce w społeczności fabryki. Według socjologów, w Kraśniku Fabrycznym dużo prężniej rozwijały się instytucje kulturalne – teatr, kluby amatorskie, biblioteki. Różne atrakcje w sali widowiskowej Zakładowego Domu Kultury czy klubo-kawiarni, wyposażonej w sale bilardową i brydżową, przyciągały także mieszkańców starego Kraśnika. Zwłaszcza w oczach młodzieży, wychowanej wśród uliczek z wolnostojącymi domkami i ogródkami, obraz Kraśnika Fabrycznego miał cechy wielkomiejskie – kilkupiętrowe budynki, większa anonimowość, ruchliwość, więcej miejsc rozrywki na niedzielne „wypadki”; można się tu było „zabawić” i wypić.

„Potem wiązą koniec z końcem...”

„Z początkiem lat 60. – pisze Janusz Kaliński – system ekonomiczny Polski powrócił, z niewielkimi modyfikacjami, do form ukształtowanych dziesięć lat wcześniej”⁴³. Zarządzanie gospodarką wróciło na tory szczegółowej kontroli i prymatu wielkiego przemysłu. Działo się to w okresie, w którym coraz więcej wskazywało na niepowodzenie narzuconego po wojnie modelu rozwoju. Zapewnienia programowe partii radzieckiej, ogłoszone latem 1961 r. – szybkiego prześcignięcia krajów kapitalistycznych i zbudowania komunizmu w ciągu dwudziestu lat – wpisywały się w kampanię mobilizacyjną, u której podstaw leżały właśnie obawy, że opóźnia się historyczny triumf socjalizmu. Europa Zachodnia rozwijała się dynamicznie, bezrobocie było bardzo niskie. Tymczasem obraz kapitalizmu, jaki wykreowała propaganda po drugiej stronie żelaznej kurtyny, i jaki wciąż żywy był we wspomnieniu starszych pokoleń Polaków czy Węgrów, przypominał raczej realia Wielkiego Kryzysu. Wyobrażenia tego nie udawało się już utrzymać. Oficjalne, więc i tak zawyżone, dane wskazywały, że wzrost gospodarczy w krajach RWPG nie jest wyższy, niż w państwach kapitalistycznych. W 1962 r. gospodarka PRL urosła o 3%, podczas gdy Francji o 7%, a Włoch

⁴³ J. Kaliński, *Historia gospodarcza Polski Ludowej*, Białystok 2005, s. 20.

o 8%. W roku następnym PRL pochwaliła się wzrostem o 6%, ale w Czechosłowacji odnotowano recesję, co było niepokojącym sygnałem dla całego bloku.

Aby podnieść efektywność starano się ściślej koordynować plany gospodarcze i specjalizować wytwórczość „bratnich krajów”. Wiązało się z tym przyjęcie przez PRL wieloletnich planów rozbudowy bazy surowcowej przemysłu: eksploatacji złóż węgla, siarki i miedzi, produkcji rud cynkowo-olowianych, surowców syntetycznych, poszukiwań ropy i gazu. Fotografie ogromnych, spowitych obłokami pary zbiorników w zakładach siarkowych i petrochemicznych czy gryzących ziemię potworów, pełzających na gąsienicach w kopalniach odkrywkowych, były ilustracjami narracji o potędze gospodarki PRL i jej rosnącej roli w produkcji światowej.

Zobowiązania blokowe w połączeniu z „uciekaniem” przed bezrobociem powodowały rozkręcanie się inwestycji. Akumulacja była bardzo wysoka: inwestowano przeciętnie 26% dochodu narodowego, a w 1968 r. aż 29% czyli więcej niż w rekordowym 1953 r. (28%). Oznaczało to wciąż oszczędzanie na codzienności, a przede wszystkim na konsumpcji i komforcie życia, w imię budowy przyszłości. Istniały jednak znaczące grupy społeczne, dla których nieustająca ekspansja przemysłowa oznaczać mogła lepsze tu i teraz. Zarówno migrujący do ośrodków przemysłowych wychodźcy ze wsi, jak projektujący i budujący je technicy i inżynierowie, stawali się bazą społeczną tego modelu rozwoju. Nie oznaczało to jednak dominacji optymizmu i zadowolenia z nowych warunków życia, ponieważ zbiorowe aspiracje rosły szybciej, niż pozwalał na to rozwój gospodarczy.

W pierwszej połowie lat sześćdziesiątych przeprowadzono badania wśród młodych (23–30-letnich) inżynierów z ponad dwudziestu zakładów pracy. Narzekali oni przede wszystkim na wysokość płac oraz bałagan organizacyjny i poziom kompetencji zwierzchników. Ujawniał się konflikt między „wysuniętymi” politycznie kadrami lat pięćdziesiątych a napierającym, lepiej wykształconym pokoleniem. Wszystko to wpływało na skłonność inżynierów do zmieniania pracy i ograniczoną więź z własnym zakładem. Jednocześnie inżynierowie na ogół cenili swój zawód i nie chcieli go porzucać⁴⁴. Mimo wszystkich trudności model ekspansji przemysłowej, podtrzymywany przez władze, dawał tej grupie nie najgorsze perspektywy, niektórym możliwości wyjazdów zagranicznych, coraz częściej, do krajów Trzeciego Świata. Słano stamtąd kartki pocztowe z barwnymi pejzażami i pozdrowieniami dla kierowników i kolegów, „naszych Współpracowników z Pionu Dostaw” itp. Jest to swoisty gatunek korespondencji, pełen skrótowych informacji o przebiegu negocjacji czy montażu urządzeń („Walka o ten kontrakt jest nadzwyczajnie długa i twarda. Musi on jednak należeć do nas”, z Bagdadu, 24 marca 1969 r.) oraz pytań o typowe sprawy zawodowe w kraju

⁴⁴ A. Grzelak, *Problemy adaptacji młodych inżynierów*, w: *Problemy kadry przemysłowej. Studia socjologiczne*, Warszawa 1965, s. 140–186; A. Matejko, *Młodzi inżynierowie w oczach socjologa*, „Organizacja, Samorząd, Zarządzanie”, 1960, nr 3, s. 34–39; J. Hoser, *Zawód i praca inżyniera. Kadra inżynierska w świetle ankietowych badań socjologicznych*, Warszawa 1970.

(„Będę wdzięczny za trochę informacji z terenu walk o wykonanie planu 1967”, z Bagdadu, 27 grudnia 1967 r.)⁴⁵. Polscy specjaliści potrafili się nierzadko wykazać doskonałym przygotowaniem i stawali symbolami europejskiej cywilizacji. Równie często jednak wyrabiali sobie złe zdanie o warunkach pracy we własnym kraju. Dyscyplina narzucana warunkami kontraktów, zarobki, postawa pracowników, jakość robót „na kontrakcie” – potrafiły rażąco odbiegać (na plus) od realiów pracy w PRL. Wrażenia takie wpisywały się w ogólniejsze rozczarowanie postęпами ekonomicznymi kraju, mierzonymi potocznie relacją płac i cen.

W sferze codziennego doświadczenia „mała stabilizacja” zaczynała się pod koniec lat pięćdziesiątych odczuwalnym wzrostem dochodów i objawieniem się dóbr wcześniej trudno osiągalnych, a teraz tworzących horyzont rodzinnych aspiracji: odbiorników radiowych i telewizyjnych, aparatów fotograficznych, pralek, skuterów, nawet samochodów. Polityka państwa zmierzała do „ściągnięcia” pieniądza z rynku przez stymulowanie zakupów dóbr trwałych. Miał to ułatwiać system Obsługi Ratalnej Sprzedaży (ORS), której biura otwierano od 1958 r. Można w nich było dostać kredyt w wysokości miesięcznych poborów lub rozbić płatność na raty. W 1961 r. z usług ORS skorzystało sto tysięcy osób, a przeciętna transakcja opiewała na 5 tys. zł., co odpowiadało cenie telewizora, najczęściej kupowanego na raty dobra. Do oszczędzania na produkty przemysłowe i deponowania pieniędzy na kontach PKO zachęcały też kampanie propagandowe z hasłami typu „Dobrze gospodarować to znaczy oszczędzać”.

Oszczędności te przeciętnej rodzinie robić było jednak trudno, a klimat gospodarczy pozostawał – wbrew nadziejom – mało sprzyjający. Płace realne zwiększyły się w latach 1959–1964 o nieodczuwalne 6%, a w drugiej połowie dekady wykazywały stagnację. Jednocześnie rosły koszty utrzymania. Nasilało się poszukiwanie możliwości „dorobienia”, które wiązało się ze stabilizacją młodych rodzin, ze skupieniem uwagi na domu, jego prowadzeniu i wyposażeniu. Spektrum możliwości, objawiające się w posiadaniu, było odbiciem ukrytego świata dodatkowych i nielegalnych dochodów, powiązań i kontaktów⁴⁶. Wiazała się z nim skłonność do oceniania w przestrzeni publicznej takich szczegółów, jak torebki czy opaski na włosy, nie mówiąc o butach czy płaszczach. Na monotonnym tle ulicy każda wyróżniająca się rzecz była wyraźnie widoczna. Najbardziej oczywistym wyrazem różnic materialnych były mnożące się prywatne auta. Nowy samochód polski na początku lat sześćdziesiątych kosztował 80–120 tysięcy zł, a na stołecznej giełdzie motoryzacyjnej używane wozy zachodnie osiągały ceny powyżej 300 tys. zł. Były to sumy zupełnie niewyobrażalne dla przeciętnego obywatela. Znacznie realniejszym celem wydawał się motocykl. Oto jak pracownica PGR opisała podjęte na początku lat sześćdziesiątych

⁴⁵ Pocztówki w zbiorach autora.

⁴⁶ J. Kochanowski, *Tylnymi drzwiami. „Czarny rynek” w Polsce 1944–1989*, Warszawa 2010.

starania o motocykl: „Lubię mieć zawsze to, czego nikt jeszcze tutaj nie ma. Owszem, mają motory. Kierownik ma junaka, magazynier WFM, księgowy również. Ja chciałam, żeby mój mąż miał najporządniejszy motor. Mąż bał się, że nie damy rady, bo jawa na raty kosztuje 26 tys. Rata miesięczna wynosi 1000 zł. Kilkakrotnie policzyłam z ołówkiem w rękę i doszłam do przekonania, że poradzimy. [...] Odkąd się kupiło ten motor, to ludziom po prostu oczy wyłażą z zazdrości”⁴⁷.

Prawdziwą gorączkę zarobkową obserwowano w środowiskach inteligencji technicznej, lecz także robotników rozwijających się ośrodków przemysłowych, gdzie lokacji wielkich zakładów towarzyszyło powstawanie nowych osiedli i wzmożone potrzeby związane z urządzaniem mieszkań. Obserwowano to np. wśród młodych inżynierów w zagłębiu konińskim. Połowa ankietowanych inżynierów-chemików podała, że pracuje ponad 48 godzin tygodniowo (w tym 20% ponad 60 godzin). Jedna czwarta pracujących w PRL wykorzystywała urlop na prace dorywcze, dwie trzecie zatrudnionych w budownictwie pracowało w czasie urlopów, a w trzech wielkich zakładach metalowych Warszawy – jedna trzecia robotników, w tym wielu od kilkunastu lat. Składnikiem codzienności było narzekanie, tak typowe, że – pisano – „rodzina, która przyznaje, że bez większych perypetii dość dostatnio żyje [...] jest zjawiskiem niemal zaskakującym”⁴⁸. W badaniu z 1964 r. takich „zaskakujących” odpowiedzi udzielało około 15% mieszkańców miast. Trzydziestoletni pracownik fizyczny twierdził, że byt poprawia się tylko „ludziom o wyższym wykształceniu, ludziom na dobrych posadach [...]”. Tymczasem: „Wydieramy się z ubrań i bielizny, coś nowego coraz trudniej kupić, a o tym żeby mieć pralkę czy telewizor, to nawet nie marzymy”⁴⁹. Popularny dowcip oddawał ten stan ducha: Co nasze wnuki będą pisać w 2000 r. w rubryce „Pochodzenie społeczne”? – Dziad z dziada pradziada.

Początkujący milicjant z wyższym wykształceniem zarabiał w 1962 r. około 2100 zł, co odpowiadało cenie dwóch małych odbiorników radiowych „Kolibry”. Przeciętne miesięczne zarobki pracownika Centralnego Domu Towarowego, największego sklepu w PRL, wynosiły 1350 zł, co było równowartością ceny prostego aparatu fotograficznego „Start”. W tym czasie wyprodukowany w PRL motorower kosztował 5–6 tys. zł, podobne były ceny telewizorów. Za płaszcz ze zgrzebnej wełny na watolinie trzeba było dać 1500 zł, czyli niemal miesięczny zarobek nauczyciela. Sława Przybylska śpiewała do słów Agnieszki Osieckiej o „okularnikach”-inteligentach, którzy:

⁴⁷ *Na trasie, w: Tu jest mój dom. Pamiętniki z Ziemi Zachodnich i Północnych*, wybór i oprac. J. Chałasiński et al., Warszawa 1965, s. 293.

⁴⁸ A. Bańkowska, *Na przykład Kozłowski*, „Stolica” z 5 XI 1961 r., s. 6. Słowo „niemal” wydate się dopisane przez cenzurę.

⁴⁹ *Jaka jesteś rodzino?...*, s. 253.

„Wymęczeni, wychudzeni
z dyplomami już w kieszeni,
odpływają pociągami,
potem żenią się z żonami.
Potem wiążą koniec z końcem
za te polskie dwa tysiące”.

Dwa tysiące złotych jawiły się jako skromna, lecz stabilna podstawą bytu. Wielu nie osiągało jednak „tej polskiej” normy. Próba publicznego protestu przeciwko tej sytuacji była manifestacja pielęgniarek w Warszawie w marcu 1963 r. Surowa reakcja władz zredukowała codzienny opór do nagannych, ale powszechnych zjawisk o których mówił szef stołecznej organizacji partyjnej: „Dla nikogo nie jest sekretem, że są takie salowe, które domagają się od ciężko chorego opłaty za podanie basenu [...]”⁵⁰. W 1970 r. pracownik budownictwa zarabiał przeciętnie prawie 3000 zł, a w ochronie zdrowia i opiece społecznej płacono średnio około 1850 zł. Mniej więcej tyle kosztował męski garnitur polskiej produkcji.

Wysokość płac nie była podstawowym problemem w gospodarce niedoboru. Wobec stałych i przemierzających się deficytów utrwalala się kultura zdobywania „spod lady”, organizowania znajomości i „dojść”, zwiększających szanse pozyskania dóbr – od pończoch po przydział mieszkania lub talon na samochód. Na poziomie podsklepowym był to, jak obserwował Hugo Steinhaus, „wywiad kumoszek, które komunikują się wzajemnie, że jutro będą banany, ale nie będzie śledzi; był ser, ale zniknął; mówią, że w ogonku można kupić cytryny”⁵¹. Z dominującą pozycją sprzedawcy wiązały się przyjmowane przez klientów strategie: przyjaźni, podległości, wręczania prezentów, propozycji wymiany usług. Na innych szczeblach drabiny znajdowali się ludzie bardziej wpływowi, kontaktujący się już ze zwierzchnikami ekspedientek, z dysponentami talonów i miejsc czasowych, z wysoko postawionymi urzędnikami – aż po literatów czy aktorów zabiegających o przywileje już u samych ministrów i dygnitarzy partyjnych. Tworzyło to cały zespół „wirtualnych” kolejek, może nawet istotniejszych od tych widocznych na ulicy⁵².

Wśród narzekań osiągnano jednak – kosztem nadgodzin, „fuch”, zabiegów – poprawę poziomu życia. Mimo stagnacji gospodarczej konsumpcja stale rosła, co odzwierciedlało może wyraźniej przerosty aspiracji, niż możliwości kreowane przez państwo. Telewizor pojawiał się także w mieszkaniu, w którym nie było bieżącej wody; na ceglanych bieda-domkach wyrastały anteny; posiadacze malutkich mieszkań gotowi byli umieszczać w nich motocykl, którego los na podwórku

⁵⁰ AAN, KC PZPR, 237/VII-4532, t. 1, k. 20, Plenum Komitetu Warszawskiego PZPR, 17-18 X 1961 r.

⁵¹ H. Steinhaus, *Wspomnienia i zapiski*, s. 563 (24 II 1966 r.).

⁵² Zob. M. Mazurek, *Spoleczeństwo kolejki. O doświadczeniach niedoboru 1945-1989*, Warszawa 2010.

byłby niepewny. Znaczące zmiany następowały w codziennej konsumpcji. Od 1963 r. obserwowano wzrost zainteresowania produktami białkowymi, owocami i warzywami. W tym czasie w budżetach rodzinnych pracowników umysłowych wydatki na żywność spadły poniżej 50%. W drugiej połowie dekady, mimo pogarszającego się klimatu gospodarczego, ta statystyczna zmiana nastąpiła też w rodzinach robotniczych. Kupowano więcej obuwia i odzieży, artykułów chemicznych i kosmetyków, powiększały się wydatki na turystykę. Rosły też wydatki na używki. Spożycie kawy naturalnej wzrosło niemal czterokrotnie w latach 1960–1968. Właśnie kawa należała do znamion „kulturalnego”, miejskiego stylu życia, który starano się upowszechniać na wsi (otwierano klubokawiarnie, mające odciągać od knajpianego sposobu spędzania wolnego czasu) i do którego aspirowały szerokie rzesze „Kowalskich”.

„Teraz mieszkanko z kapturami?”

Wśród młodych wychodźców ze wsi, zwłaszcza z rejonów i gospodarstw ubogich, dominowała wizja zdobycia zawodu dającego samodzielność materialną oraz wtopienia się w życie miejskie. W badaniach OBOP z 1961 r. jedna czwarta dorosłych mężczyzn – mieszkańców miast deklarowała, że ojciec był rolnikiem lub robotnikiem rolnym. Mężczyźni ci byli teraz rozsiani w różnych warstwach społeczności miejskiej, najliczniejsi wśród robotników. Czy subiektywna ocena własnego losu odpowiadała zewnętrznemu obrazowi zbiorowego awansu? Niekoniecznie. Wielu niewykwalifikowanych robotników nie miało poczucia, że ich sytuacja poprawiła się w stosunku do losu ojca. Dopiero status robotnika wykwalifikowanego dawał przeważnie poczucie korzystnej zmiany. Jak wynikało z warszawskich badań Ireny Nowakowej z 1964 r., w dziedzinie życia towarzyskiego ostra granica przebiegała właśnie między robotnikami niewykwalifikowanymi a całą resztą. Im wyższe kwalifikacje, tym intensywność życia towarzyskiego robotników bliższa była inteligencji. Życie to w dwudziestym roku istnienia Polski Ludowej dalekie było zresztą od egalitaryzmu: jeśli grupy pracowników fizycznych i umysłowych spotykały się, to najwyżej w ramach rodziny⁵³. Rodzin takich było jednak coraz więcej, ponieważ zdemokratyzował się dobór małżeński. Wśród pracowników umysłowych przekonanie o awansie było bardziej problematyczne, niż wśród robotników. Pochodzenie z rodziny przedwojennej inteligencji i wolnych zawodów wiązało się dość często (w badaniach OBOP z 1961 r.) z przeświadczeniem o własnej społecznej degradacji. Odzwierciedlał się w ten sposób nie tylko stosunek do pensji i warunków pracy, ale zapewne w ogóle do

⁵³ I. Nowakowa, *Wzory i normy życia towarzyskiego mieszkańców Warszawy*, Warszawa 1968, s. 9, 51.

realiów PRL. Były to zresztą grupy stosunkowo niewielkie, ale o silnych więzachs towarzyskich i wysokich aspiracjach.

W obrazie własnym społeczeństwa miejskiego dominowało, jak wynika z rozpoznawień socjologicznych, poczucie przeciętności, mieszczenia się w stanach średnich i średnio-niskich na skalach dochodu, warunków mieszkania, prestiżu. Bardzo niewielu określało siebie jako obdarzonych wysoką lub zupełnie niską pozycją. W 1961 r. tylko 5% ankietowanych przez OBOP sądziło, że ich pozycja jest „bardzo wysoka” lub „wysoka”, a 6% przyznawało, że uważa swą pozycję za „bardzo niską”. Można przypuszczać, że ogólna tendencja polegała właśnie na „uśrednieniu” ocen odpowiadającym niwelacji kontrastów życia w społecznościach miejskich. Jak komentował Stefan Nowak, „wyraźnie dominuje przekonanie, że zmiana ustroju przyniosła zmniejszenie różnic społecznych”. Dostrzegano jednak wyraźne dystanse, przede wszystkim mierzone zarobkami i poziomem wykształcenia. Nowak zauważał zresztą, że respondenci uważali czynniki światopoglądowe, postawy polityczne i religijne jako mające mniejsze znaczenie w podziałach społecznych⁵⁴.

Oznaczało to, jak się zdaje, zupełne zatarcie nadziei symbolizowanych przez Polski Październik, odsunięcie na bok sfery ideologii i ustalenie się konformistycznego ładu, bardzo rozczarowującego dla wąskich, ale znaczących grup, silnie zaangażowanych w „rewolucyjne” zmiany 1956 r. Należał do nich dziennikarz tygodnika „Polityka” Andrzej K. Wróblewski, który zapisał w swym dzienniku pod datą 1 stycznia 1961 r.: „Młodość z wiarą w socjalizm już za mną? Teraz mieszkanko z kapturami? Socjalizm nadal jest mi drogi, ale ten, którym monopolistycznie zawładnęła jedna władza, potrzebuje jedynie urzędników, żeby wypełniali statutowe obowiązki partii. Nawyków z młodości nie wybiję się całkiem z głowy; wciąż staram się wtrącać do spraw z góry skazanych na niepowodzenie. Tylko, że obszar tych spraw bardzo się zawęził – trzeba zarabiać. [...] Ciekawe, czy historia wybaczy nam taką postawę”⁵⁵. „Mała stabilizacja” miała bolesny dla lewicowych idealistów wymiar pogodzenia się z przyziemnymi potrzebami, straszyla ich obrazem odrodzonego mieszczanina-konformisty, anturazem drobnostek życia domowego i brakiem zainteresowania sprawami publicznymi. Z drugiej strony, nowa legitymizacja systemu polegała właśnie na jego spolegliwości wobec dynamiki życia prywatnego. Zamknięte w (mnożących się szybciej) mieszkaniach, wśród drobnych, przerywających rutynę życia przyjemności, jakimi mogły być udane efekty domowego gotowania, wino »Egri Bikaver« na prywatce, wczasy nad morzem – życie prywatne wymagało licznych zabiegów o zabezpieczenie materialne, »kombinowania«, prac dodatkowych. Była to cena „małej stabilizacji”.

⁵⁴ S. Nowak, *Psychologiczne aspekty przemian struktury społecznej i ruchliwości społecznej*, w: tenże, *O Polsce i Polakach. Prace rozproszone 1958–1989*, zebrał A. Sułek, Warszawa 2009, s. 109 i n.

⁵⁵ A.K. Wróblewski, *Dzienniki zabrane przez bezpiekę*, Warszawa 2008, s. 286.

Jak to ujęła pewna krawcowa na początku lat sześćdziesiątych: „Dziś mieszkanie jest najważniejsze. Ten jest górą, co je ma. Trzeci mój syn przez mieszkanie się ożenił i przez mieszkanie teraz będzie się rozwodził. Drugi tak samo. Mieszkanie ludzi bardziej wiąże niż przysięga”⁵⁶. Niedostatek mieszkań był jedną z głównych przyczyn zbiorowych frustracji⁵⁷. Mijały kolejne pięciolecia od zakończenia wojny, a jej skutki wydawały się wciąż nieprzezwyciężone. Było to widoczne zarówno w przestrzeni publicznej – u progu lat sześćdziesiątych w Warszawie, Wrocławiu czy Gdańsku wciąż straszyły ruiny – jak prywatnej, kojarzącej się powszechnie z „siedzeniem sobie na głowach”. Typowe wyobrażenia o dobrym lokum były skromne: zasadniczą sprawą wydawało się dysponowanie całością, a nie częścią mieszkania. „Od ośmiu miesięcy jesteśmy w Koźmicach. Otrzymaliśmy tutaj mieszkanie typu M-3, tj. dwa pokoiki z kuchnią, łazienką i przedpokojem. Łącznie 40 m². Nasza radość jest ogromna. [...] Własne mieszkanie zasłania nam w pewnym stopniu brzydotę i nudę miasteczka”⁵⁸ – pisała młoda pani inżynier, ujawniając tę powszechną skłonność do zamykania się w domowym świetle.

Migracje wewnętrzne były często nie pójściem „za pracą”, ale „za mieszkaniem”, które łatwiej było dostać w rozbudowywanym ośrodku przemysłowym. Prawie dwie trzecie mieszkańców Nowych Tych, pytanych w pierwszej połowie lat sześćdziesiątych o przyczyny sprowadzenia się do miasta, wskazało przydział mieszkania. Na przydział taki czekały ogromne kolejki, w których wzrastało ciśnienie niezadowolenia, tworzące problem polityczny. Dalsza industrializacja musiała kłopoty wciąż tylko zaostrzać, a alternatywą dla mieszkań w pobliżu miejsc pracy były masowe dojazdy trzeszczącymi w szwach autobusami. Łagodzeniu problemu służyć więc miało budownictwo „z taśmy produkcyjnej” – uprzemysłowione, oparte na prefabrykacjach i projektach typowych. Starania polskich architektów wpisywały się nie tylko we wschodnio-, ale i ogólnoeuropejskie próby masowego budownictwa, znane mieszkańcom uboższych dzielnic miast brytyjskich czy francuskich. Tam także narzekano wkrótce na zdehumanizowaną przestrzeń nowych osiedli i ich szybką degradację. W PRL problem był ostrzejszy z powodu niewydolności gospodarki, braku nowoczesnej technologii oraz nacisków politycznych na tempo i obniżkę kosztów. Hasłem stawała się „unifikacja” i „typizacja”. Budowano więcej – coraz mniejszych mieszkań. Najmniejsze średnie uzyskiwano w połowie lat sześćdziesiątych – z tego okresu pochodziły przeciętne mieszkania miejskie 44–45-metrowe, na ogół z malutkimi kuchniami bez okna lub z oknem do pokoju. W drugiej połowie dekady ciemne

⁵⁶ *Jaka jesteś rodzino?...*, s. 287.

⁵⁷ D. Jarosz, *Mieszkanie się należy... Studium z peerelowskich praktyk społecznych*, Warszawa 2010.

⁵⁸ D. Kwiatkowska, *Szczęśliwa inżynier w Koźmicach*, „Pamiętnikarstwo Polskie” 1976, nr 1–4, s. 232 i n.

kuchnie miało 90% zbudowanych w stolicy mieszkań M-3. Dążono też do obniżenia nakładów na metr kwadratowy mieszkania, co odbijało się na wyposażeniu i jakości wykończenia. Podobne działania oszczędnościowe podejmowano w innych państwach socjalistycznych. Były one dowodem pewnej racjonalizacji decyzji, ale i wyczerpywania się prostych rezerw wzrostu. W ZSRR starano się rozwiązywać problemy mieszkaniowe przez skrajne uproszczenie budownictwa. Powstawały bloki nazwane ironicznie „chruszczobami”⁵⁹, pozbawione piwnic, zmuszające lokatorów do magazynowania na balkonach zapasów i rupieci. Wznoszone w PRL osiedla nigdy nie zniżyły się do tej jakości⁶⁰. Jednak w 1963 r. nastąpiła reorganizacja instytucji planistycznych, ograniczająca rolę architektów i urbanistów. „W konsekwencji biura projektowe podporządkowane zostały przedsiębiorstwom budowlanym, tak jakby opiekę nad owcami przyznać wilkom” – wspominał Bolesław Malisz⁶¹.

Nacisk na standaryzację sprawiał, że nietypowe czy bardziej ambitne projekty natrafiały na opór lub były „przycinane”, tracąc część zakładanych walorów. Taki los spotkał dwa głośne projekty konkursowe z 1959 r.: gdańskie Przymorze, największe spółdzielcze osiedle PRL, oraz warszawską dzielnicę wielkich bloków mieszkalnych w duchu corbusierowskim – Za Żelazną Bramą. Pod koniec lat sześćdziesiątych słowo „architektura” było rzadko spotykane w oficjalnych enuncjacjach, zastąpione przez „budownictwo”. To na budownictwo, nie na architekturę czekały miliony ludzi, tworząc ciśnienie polityczne, pchające władze ku decyzjom porażającym nieraz fachowców i osoby wrażliwe na formy pejzażu, ale – jak się mogło wydawać – doraźnie istotniejszym. Na obrzeżach miast rosły kolonie bloków, przeważnie bile jak wykończonych, ale posiadających instalacje, jakich nie było w pobliskich kamienicach czy domach wiejskich. Sprowadzający się do bloków, zwłaszcza tych wyższych, mieszkańcy szybko jednak odkrywali udręki zepsutych wind, zapchanych zsyków, wypaczonych okien, zmiennego ciśnienia gazu, słabego ciśnienia wody, cienkich konstrukcji przenoszących hałas. „Na mieszkanie spółdzielcze czekaliśmy 5 lat jak na zbawienie” – pisała w 1969 r. mieszkanka Lublina. Sześciuosobowa rodzina dostała wreszcie trzypokojowy lokal o powierzchni 54 m² i szybko straciła entuzjazm: „Musimy w 3 pokoikach ustawić 6 miejsc do spania i oczywiście szafy na ubrania i obuwie, ta jedna w przedpokoju z drążkiem długości 65 cm to tyle co nic. Łazienka plus WC w jednym pomieszczeniu przy tyłu osobach to też swoista udręka. Największy pokój – tramwaj, niestawny, drugi w amfiladzie 2x3,5 m maleńki, trzeci w kształcie litery L również niestawny.

⁵⁹ Złośliwe połączenie nazwiska Nikity Chruszczowa i słowa „truszczoza”, oznaczającego rudę, dzielnicę ęndzy.

⁶⁰ Oceny przekazane przez delegację Komitetu Warszawskiego PZPR, zwiedzającą Moskwę i Leningrad jesienią 1960 r. były dość kwaśne. AAN, KC PZPR, 237/XXXI–312, k. 209 i n.

⁶¹ B. Malisz, *O ład przestrzenny. Wspomnienia naukowca i urbanisty*, Warszawa 1996, s. 133.

W przedpokoju nie ma miejsca na obuwie, jeden mały wieszak nieustannie ponad miarę obciążony”⁶².

Dobre zagospodarowanie szczupłej przestrzeni było wyzwaniem dla pomyślności. W sklepach pojawiały się skromne, wykonywane z płyt pilśniowych czy paździerzowych meble do małych mieszkań, inspirowane wzorami skandynawskimi – zabudowy kuchenne z wysuwanymi blatami, meblościanki, składane stoły – lecz przeważnie niełatwo było skompletować zestaw, „znikały” one błyskawicznie. Mieszkania ukazywały na ogół nawarstwienia nie pasujących do siebie sprzętów. Wyraźne było w tej sferze piętno wojny, która wyniszczyła meblostan rodzin polskich, zwłaszcza w zburzonych miastach. Częściowe jego odbudowanie możliwe było dzięki zasobom przejętym na Ziemiach Zachodnich. Można je było także zobaczyć w nowych mieszkaniach (nie tylko wrocławskich, ale i warszawskich), do których nie pasowały rozmiarami i mieszczańską solidnością. Częściej jednak widywało się krajowe meble kupowane od połowy lat pięćdziesiątych. Ożywione starania w tym zakresie charakterystyczne były dla „małej stabilizacji”. W doświadczeniu przeciętnego mieszkańca PRL-owskiego miasta własne mieszkanie było dobrem długo oczekiwanym, nadającym życiu osobistemu upragnioną stabilność. Trudno się dziwić, że jego meblowanie i długoletnie udoskonalanie stawało się osią egzystencji.

Warto tu przytoczyć obserwacje poczynione na jednym z nowych osiedli łódzkich końca lat pięćdziesiątych, wskazujące na rozbieżności między rodzinami inteligenckimi a robotniczymi. Robotnicze miały spędzać większość czasu w kuchni, a zasadniczą funkcją pokoju stołowego było przyjmowanie gości. Inteligenckie natomiast wyżej ceniły izolację członków rodziny, dążyły do zyskiwania większej liczby pokoi kosztem ich wielkości. Ściany mieszkań malowano przeważnie (wałkiem) w szlaczki lub kwiatki, rzadziej decydowano się na białe lub – co uznawano za nowoczesne – każdą ścianę malowano na inny kolor. Takie rozwiązania wybierali zwykle inteligenci. Rodziny robotnicze miały upodobanie do masywnych mebli, obrazów i makatek na ścianach⁶³. Zauważano, że meble „stanowią bardziej dowód zamożności właściciela niż przedmiot codziennego użytku. I raczej mało kto kupuje meble z myślą, że po dwóch–trzech latach wymieni je, kupi nowe, modniejsze. Łóżka na przykład, przedwojennej firmy Jarnuszkiwicza z Warszawy, są jeszcze po dzień dzisiejszy przekazywane w niejednych rodzinach z pokolenia na pokolenie, co świadczy bardzo dobrze o walorach łóżka i solidności producenta, ale mniej o gustach naszych rodaków” – twierdził publicysta pod koniec lat sześćdziesiątych⁶⁴. Socjolog Jadwiga Komorowska, która oglądała mieszkania robotnicze na nowym osiedlu podwar-

⁶² „Kobieta i Życie” z 31 VIII 1969 r., s. 2.

⁶³ J. Brysz, *Czy tak właśnie mieszkaś?*, „Dziennik Łódzki” z 6 VIII 1960 r., s. 3.

⁶⁴ J. Wasylkowski, *Niepokoje i nadzieje*, „Życie Gospodarcze” z 26 I 1969 r., s. 2.

szawskiego miasteczka początku dekady⁶⁵, podkreślała jednorodność szaf trzydrzwiowych, rozkładanych foteli (tzw. amerykańek), tapczanów, toaletek, wyściełanych krzesel. Jednorodny był także wystrój, w którym mieszały się reminiscencje domu wiejskiego i aspiracji do świata wielkiego miasta. Nad okrągłymi stołami, krytymi nicianymi serwetami, wieszano na żyrandolach „rajskie ptaki” z kogucich piór. Na podłogach leżały wzorzyste dywany. Łóżka zdobiły haftowane poduszki z falbankami, na których kładziono lalki-„Cyganki”. Na ścianach wisiały portrety ślubne, makatki z jeleniem i łabędziami, obrazy religijne, a kuchnie ozdobione były serwetami z wyszytymi przez panie domu napisami w rodzaju „Dobrego apetytu”, „Ja cię kocham, a ty śpisz” lub cytatami z Biblii. Mieszkania inżynierów, lekarzy i techników różniły się przeważnie większą prostotą i użytecznością. Zdobila je ceramika czy grafika, kolorowe zasłony okien.

Z obśmianą kulturą „makatek”, symbolizującą stop cech ludowych i drobnomieszczańskich, rywalizowała kultura „pikasów”, odzwierciedlająca aspiracje inteligencji. „Pikasami” zwano niesymetryczne, abstrakcyjne kompozycje mocnych kolorystycznie rombów, linii falistych, kół na ścianach odnowionych pod koniec lat pięćdziesiątych kawiarni i we wnętrzach mieszkań. Jednak i „pikasy” poddawane były już krytyce. Publicysta „Więzi” nazywał je „szmirą nowoczesną”, która rozpowszechnia się „na fali mody, gustów, snobizmów”. Ludzie „malują mieszkania w pasy, chodzą do kawiarni w trójkąty lub taszystowskie przenikanie form, siadają na sedesowatych krzeselkach i wystarczy im, żeby te krzeselka były sedesowate [...]”. Ten styl był, jego zdaniem, atrybutem „nowej klasy średniej” ukształtowanej w PRL: „jest tam inżynier i lekarz, i młódzieź, i młody ksiądz, jest tam i technik, i nauczyciel, i ekspedient”⁶⁶. Była to krytyka rozprzestrzeniania się form elitarnych i wypłukiwania ich z sensu w masowym użytku – typowa krytyka towarzysząca rozwojowi kultury masowej.

Rozwój ten nadawał oblicze społecznym aspiracjom lat sześćdziesiątych: powszechnemu dążeniu do „nowoczesności”, choćby powierzchownej i w skromnym zakresie. Nie musiała ona naruszać zestawu tradycyjnych zachowań religijnych, świątecznych, wychowawczych. Przenikała na ogół szybciej w świat przedmiotów, które nabywać chcieli urządzający się ludzie. Detergenty w kuchni, kolorowe, plastikowe kubki czy miednice w łazience, w szafach nylonowe skarpety, płaszcze z polichlorku winylu, stylonowe koszule – choćby wdzierająca się w życie „chemia” była dostępnym wymiarem nowoczesności. Dostępnym, choć drogim (polietylenowe wanienki kosztowały cztery razy drożej niż miednice emaliowane, a talerze z melaminy dwa razy drożej niż porcelanowe) i często tandetnym. Pod

⁶⁵ J. Komorowska, *Telewizja w życiu dzieci i młodzieży. Studium telewizji wśród uczniów szkoły podstawowej w mieście przemysłowym „N”*, cz. I, Łódź–Warszawa 1963, s. 34 i n.

⁶⁶ J. Łukasiewicz, *Zmierzech makatek*, „Więź” 1960, nr 7–8, s. 41 i n.

koniec lat sześćdziesiątych, w dekadę po pojawieniu się polskiej „chemii”, pisano nawet, że „plastyczny świat został w naszym kraju mocno skompromitowany”⁶⁷.

„Dajmy sobie nawzajem spokój”

„Prowadzimy życie ślimaków” – pisał warszawski publicysta o wyludniających się wieczorami ulicach⁶⁸. Jakie były przyczyny tej skłonności do chowania się w skorupie mieszkania? Wynikała ona częściowo z niskiej jakości życia miejskiego, mierzonej warunkami komunikacji publicznej, żywienia zbiorowego, liczbą miejsc rozrywki. Jednak równie istotne były inne zjawiska. Domatorstwo obserwowano także w krajach Zachodu. Stanowiło ono pewne rozczarowanie dla intelektualistów wierzących w ożywczą społecznie rolę zwiększonych zasobów wolnego czasu. Był on na ogół spędzany biernie, w kręgu spraw rodzinnych i przed telewizorem. Z domowym czasem wolnym związane były jednak pewne ambicje twórcze, wyrażające się w majsterkowaniu, „konikach” i kolekcjonerstwie. Filozof francuski Edgar Morin uznawał to za charakterystyczną cechę człowieka miejskiego drugiej połowy XX w.⁶⁹

W PRL owo majsterkowanie grało, jak się zdaje, rolę szczególną, służąc uzupełnianiu niewydolnych usług, wiążąc się ze specyfiką życia w gospodarce niedoboru. W drugiej połowie lat sześćdziesiątych pewna pani magister historii pisała o swym mężu jako o domatorze imponującym „wszechstronnymi umiejętnościami z zakresu tzw. męskich czynności. Nie tylko naprawi światło, radio i zamek do drzwi, a w razie konieczności zastąpi ślusarza i szewca, ale również sam zrobi lampę, regał, stolik”⁷⁰. Ambicje wkładane w wyposażenie mieszkania realizowały się w toku zmagania o zdobycie mebli, których brakowało w sklepach, i poszukiwaniach armatury łazienkowej. Zdesperowany mieszkaniec stolicy postulował nawet wprowadzenie talonów na miski klozetowe⁷¹. Byle jak przeprowadzane naprawy i trudności z zastąpieniem zużytych części powodowały, obok nie dość wyrobionych obyczajów, zły stan toalet nawet w zadbanych mieszkaniach. Wielkie było zapotrzebowanie na talenty „złotych rączek” oraz wyrabianie umiejętności własnych; sprzyjał temu zresztą spektakularny rozwój szkolnictwa technicznego. Rodzima wersja zbieractwa wiązała się natomiast z atrakcyjnością przedmiotów „zachodnich”, wszelkich drobiazgów, mogących kojarzyć się z podróżą i wielkim światem. Na Węgrzech panowała pod koniec lat pięćdziesiątych „mania” kolekcjonowania serwetek stołowych z nadrukami

⁶⁷ *Plastyczny świat*, „Kobieta i Życie” z 5 X 1969 r., s. 12.

⁶⁸ M. Sadzewicz, *Puste noce*, „Stolica” z 21 I 1968 r., s. 15.

⁶⁹ E. Morin, *Duch czasu*, Kraków 1965, s. 64.

⁷⁰ *Mąż i żona*, oprac. M. Parzyńska i J. Horodecka, Warszawa 1968, s. 27.

⁷¹ „Express Wieczorny” z 22 III 1958 r., s. 5 i 1 IV 1958 r., s. 5.

restauracji i hoteli oraz naklejek hotelowych na walizki⁷². W Polsce modne dziewczyny lubiły chodzić z firmowymi torbami reklamowymi linii lotniczych (wyrabianymi zresztą także w prywatnych warsztatach i ukazujących fikcyjne emblematy). Surowy krytyk swoich współczesnych Andrzej Kijowski pisał, że „Zachód jest aktualizacją infantylnych stanów zachwycenia. Wszystko polega na lęku przed odpowiedzialnością i pracą. Ponieważ wielką część tego lęku wpoił w nas ustrój, w którym żyjemy, infantylna procedura odnosi się w pierwszym rzędzie do niego: poprawiamy go [...] wedle dzieciennych wyobrażeń. Zamiłowanie do neonów, kolorowych etykietek, ubrań i butów z ozdobnymi metkami”⁷³.

Rozbudzało zainteresowanie szerokim światem i jednocześnie potęgowało zjawisko domowej izolacji – wkroczenie w codzienne życie telewizji. Odbywało się ono w dwóch fazach. W pierwszej odbiornik był dobrem rzadkim i sprzyjał integracji: skupiano się przed nim w świetlicach, wspólnie komentując program, albo w mieszkaniach prywatnych, do których schodzili się na emisję sąsiedzi. W drugiej fazie, gdy telewizory się upowszechniły, „zamykały” rodzinę w mieszkaniu. Te dwie fazy miały różną dynamikę w różnych krajach oraz inną w mieście i na wsi. Pod koniec lat sześćdziesiątych z jednego telewizora korzystało w PRL jeszcze przeciętnie dziesięć osób. Liczba odbiorników wzrastała jednak szybko: były w 6% polskich gospodarstw domowych w 1960 r., w 1/4 pięć lat później i już niemal w połowie u progu lat siedemdziesiątych.

Odbiornik wpływał na zmiany w kulturze spędzania czasu; małało znaczenie przestrzeni przydomowej, obszaru drobnych kontaktów ludności robotniczej. Ta właśnie grupa przyciągnięta została do ekranów najsilniej: pracownicy fizyczni trawili przed nimi więcej czasu, niż umysłowi, a niewykwalifikowani więcej niż wykwalifikowani. W Nowej Hucie liczba odbiorników wzrosła w latach 1960–1966 piętnastokrotnie, a nasycenie było większe niż w innych dzielnicach Krakowa⁷⁴. Odbiornik zmieniał charakter mieszkania, stawał się centralnym punktem pokoju. Politurowana skrzynia pełniła funkcję prestiżowego mebla, nacieranego fornirem i przykrywanego serwetą, ale przede wszystkim wpływała na relacje społeczne. W czasie rodzinnego posiłku wzrok kierował się w stronę ekranu. Rozwijała się specyficzna obyczajowość, w tym przyjmowanie „telewizyjnych gości”. Reporter przytaczał w połowie dekady zeznanie z procesu rozwodowego: „Gdy raz wróciłem przypadkowo o godz. 2.30 w nocy, zastałem w moim mieszkaniu przyjaciela żony. Pozwana nie chciała mnie wpuścić [...], potem tłumaczyła się, że ten pan przyszedł na telewizję”⁷⁵. Mało przekonujące, zważywszy, że emisje kończyły się przed północą.

⁷² K. Mojowska, *Węgierskie „koniki”*; „Dziennik Łódzki” z 6 VII 1960 r., s. 3.

⁷³ A. Kijowski, *Dzienniki 1955–1969*, Kraków 1998, s. 192 i n (12 IX 1963 r.).

⁷⁴ T. Goban-Klas, *Młodzi robotnicy Nowej Huty jako odbiorcy i współtwórcy kultury*, Wrocław 1971, s. 117, 121.

⁷⁵ J. Lovell, *Bunt brzydulek. Reportaże*, Warszawa 1965, s. 45.

Zamykanie się w świecie rodziny i znajomych, a więc w świecie okołodomowym, wiązało się przecież nie tylko ze zmianami cywilizacyjnymi, ale i, zwłaszcza wśród inteligencji, z poczuciem obcości świata publicznego. „Wszyscy [...] stwierdzają, że ludzie zaczęli się zamykać (znowu) w domowych kręgach i mało się kontaktują, mało szukają innych” – zauważyła Anna Kowalska w 1961 r.⁷⁶ Tak wspominać będzie to oblicze epoki Leopold Unger: „Jeżeli nic ze strony władzy nie komplikowało nam osobistego życia, nie zagrażało naszej małej czy większej stabilizacji, to następowało to, co się wówczas określało jako znieczulicę, to znaczy całkowite zobojętnienie na los ogółu, na wszystko, co funkcjonowało poza najbliższym kręgiem rodziny, przyjaciół, kasty czy klanu. Było to nowe wydanie »kontraktu społecznego«: dajmy sobie nawzajem spokój”⁷⁷. Kontrakt ten tracił aktualność w ostatnich latach dekady.

„Podwyżkę zrobili Żydzi”

Pod koniec lat sześćdziesiątych zbiegło się kilka zjawisk, których objawy występowały od lat, a które mniej więcej od 1967 r. kumulowały się i wpływały na pogorszenie atmosfery. Jednym z nich były jawne i ukryte podwyżki cen, naruszające z trudem osiągniętą stabilizację budżetów rodzinnych. Stałość cen podstawowych produktów była wymogiem politycznym, a każda ich zmiana powodowała proporcjonalne do tej pożądanej stabilności napięcie. Podwyżki cen mięsa i biletów komunikacji miejskiej w 1967 r. wywołały wzburzenie. Na zebraniach partyjnych można było usłyszeć, że „likwiduje się kolejne zdobycze socjalizmu”, „tworzy się w Polsce czerwona burżuazja kosztem robotnika”, oraz że „podwyżkę zrobili Żydzi, którzy jeżdżą samochodami za nasze ciężko zarobione pieniądze i za nasze pieniądze nas gniją”⁷⁸.

Tego rodzaju frustracje doskonale wpisały się w bliską już kampanię „marcową”, która – obok antysemitycznych – pobudzała odruchy autorytarne. Były one wpisane w kulturę życia codziennego, ukształtowane zarówno przez doświadczenia historyczne, jak i propagandę nowego ustroju. Jak oceniał anonimowy autor tekstu, przekazanego z PRL paryskiej „Kulturze”, „społeczeństwo polskie nie jest w przeważającej części demokratyczne. Wielu narzekających na obecny system chętnie – gdyby było to w ich możliwości – pozamykałoby w więzieniach i obozach tych, co są górą obecnie i w ogóle tych, co mają inne niż oni przekonania”⁷⁹. Tę ostrą opinię zdają się potwierdzać niezliczone listy do organów władzy

⁷⁶ A. Kowalska, *Dzienniki 1927–1969*, oprac. P. Kądziela, Warszawa 2008, s. 356 (12 I 1961 r.).

⁷⁷ L. Unger, *Intruz*, Warszawa 2002, s. 114.

⁷⁸ AAN, KC PZPR, 237/VII–5225, k. 28–30, *Informacja*, 10 VI 1967 r.

⁷⁹ *Głos z kraju*, „Kultura” (Paryż) 1965, z. 10, s. 76.

i wypowiedzi na zebraniach publicznych z żądaniami surowego karania, nadzorowania, kontrolowania osób i instytucji. Jak się zdaje, popychające do ich pisanie resentymenty dotyczyły przeważnie świata materialnego, podziału zbyt niewielkich dóbr, niemożności zrealizowania aspiracji.

Karol Estreicher pisał do szuflady w 1967 r., że w Polsce wszystko się „ułożyło, ugniotło, ustabilizowało. Kto jaką posadę złapał [...] to osiadł, opadł głęboko w fotel”⁸⁰. Istotne stwierdzenie, zwłaszcza w perspektywie wydarzeń roku następnego. Jesienią 1968 r. Michał Głowiński notował: „»Mała stabilizacja« nie była formułą oficjalną. Dziennikarze posługiwali się nią jednak bez żadnych oporów. Sytuacja zmieniła się radykalnie w marcu. Atak zaczął bodaj PAX, głosząc, że jest to ideał niegodzien Polaka i socjalisty [...]. W istocie chodziło o to: mała stabilizacja stworzyła przeszkody tym grupom wewnątrz partii, które od dawna rwały się do władzy i prowokowały wydarzenia, jakie umożliwiłyby jej zdobycie w możliwie najszybszym tempie. Od dwóch, trzech miesięcy »mała stabilizacja« zniknęła z prasy”⁸¹. Jednym z najważniejszych aspektów nagonki 1968 r. było uwolnienie się resentymentów. Okres ten stał się dla wielu „porcją wolności”, by nadużyć tytułu książki Jakuba Karpińskiego o 1956 r.

Jak pisze Dariusz Stola, „nie tylko zdjęto nagle pokrywę z kotła, ale także podgrzano go za pomocą zmasowanej propagandy, wdychanie zaś wydobywających się zeń oparów uczyniono partyjnym i obywatelskim obowiązkiem”⁸². Opary te wiązały się z zaszłościami, przede wszystkim z latami stalinizmu, ale głównie z terazniejszymi niezaspokojonymi ambicjami. Narzekający na niskie płace i rosnące ceny skłonni byli winić nieudolność i zakłamanie państwa, lecz równie chętnie słuchali historii o bogacących się „pasożytach”. Takie właśnie tony zabrzmiały w 1968 r. „Sportretowany w marcowej propagandzie wróg zawsze, bez wyjątku, należał do elity” – zauważa Piotr Osęka⁸³. W galerii obcych, „zamkniętych w złotych klatkach” typów znalazł się bananowy młodzieniec, kawiarniany politykier, stalinowski dygnitarz obok prywaciarza. Wszystkie te postaci miały się wiązać z posiadaniem, z dominacją, z wygodnym życiem otoczonym atrakcyjnymi przedmiotami – „uzbierały” więcej niż inni, „ułożyło” im się ponadprzeciętnie dobrze i winny były za to zapłacić.

⁸⁰ K. Estreicher jr., *Dziennik wypadków*, t. 4: 1967–1972, Kraków 2004, s. 198.

⁸¹ M. Głowiński, *Marcowe gadanie. Komentarze do słów 1966–1971*, Warszawa 1991, s. 47 (3 X 1968 r.).

⁸² D. Stola, *Kampania antysyjonistyczna w Polsce 1967–1968*, Warszawa 2000, s. 194.

⁸³ P. Osęka, *Syjonisci, inspiratorzy, wichrzyciele. Obraz wroga w propagandzie marca 1968*, Warszawa 1999, s. 16.

„Somehow, it has all come right...”
An Essay on Poland of the “Small Stabilisation” Period
(Abstract)

Poland under Władysław Gomułka was a country that underwent a process of homogenisation and stabilisation. Developed towns, clothes of people in the streets, their abilities and aspirations, were becoming similar. After the period of post-war poverty and the years of Stalinist regime, the citizens of the Polish People’s Republic were able to fulfil themselves in their private lives, delivered from political bondage, and also – at the expense of their significant sacrifices – to improve their standard of living. A phenomenon of domesticity emerged and the appetite for automobiles increased. Internal migrations decreased, and the labour market was replenished by the post-war population bulge, which was causing economic and social tensions, especially in underinvested regions, but also among the groups of social advancement. Those tensions, together with the increasingly complicated political situation, led to the crisis of the old formula of rule, symbolised by Gomułka, and to the end of the “small stabilisation” period, circa 1968.